ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 30

28 LIPCA 1934 ROKU



Ostatni lokator chaty rozbitej przez powódź

Fot. Jan Ryś

W numerze:

POWÓDŹ W WARSZAWIE

Przystań Tow. Wioślarskiego na Wiśle zalana. Ogród i tarasy w wodzie. Do sal parterowych wjechać można łodziami



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 30 28.VII.1934

KATASTROFA

Powódź, która ogarnęła Polskę, stała się katastrofą narodową.

Rozmiar klęski nie da jeszcze obliczyć strat i konsekwencji, jakie na falach zatapiających wód płyną dla gospodarki narodowej.

Ze strony czynników miarodajnych padło hasło nie ulegania panice — słusznie. Każde nieszczęście ma to do siebie, że zmniejsza zdolność obserwacyjną — ludzi podległych wzruszeniu. Katastrofa jest tak wielka, tak niespodziewana, tak straszna, że zastanawianie się nad nią chyli czoła zasnute troską ku ziemi. Ale nie poddawanie się panice na to właśnie nie pozwala. Jeszcze dziś walczymy z falami, jeszcze dziś nie wiemy, czy wały pod Warszawą wytrzymają, czy nie pękną. Jeszcze dziś nie wiemy czy zgodnie z wysiłkami, zgodnie z pragnieniem Warszawa stanie się znowu punktem, o który rozbije się i załamie wroga fala.

Dziś jest to fala wrogich wód, kiedyś była to fala wrogich wojsk, przez długie lata była to fala wrogich administracji i rządów, podmywających wolę i charakter narodowy. Tak dziś, jak ongiś, jak w roku 1920 i dawniej o Warszawę rozbiły się te fale — obyż i teraz stolica spełniła swą rolę.

Jak ongi, tak i dziś w obliczu narodowej klęski potrzebny, niezbędny jest wspólny, solidarny, wytężony, sprężysty wysiłek całego narodu. Ten wysiłek przyjdzie, bo musi przyjść, ten wysiłek musi być wykorzystany i pokierowany umiejętnie i planowo.

To co dziś się oblicza i mówi o rozmiarach klęski to wszystko są przypuszczenia—zarówno suma 200 miljonów strat, jak i miljarda są dowolne, ale nakazujące zastanowienie się nad ogromem nieszczęścia.

Na pierwszą wieść o katastrofie pan premjer Kozłowski, p. minister Kościałkowski i p. min. Butkiewicz udali się na miejsce katastrofy. Nieśli pomoc, otuchę, nieśli chleb, ratowali odciętych powodzian — naocznie uzewnętrznili nieszczęśliwym, że pomoc idzie, że pomoc będzie.

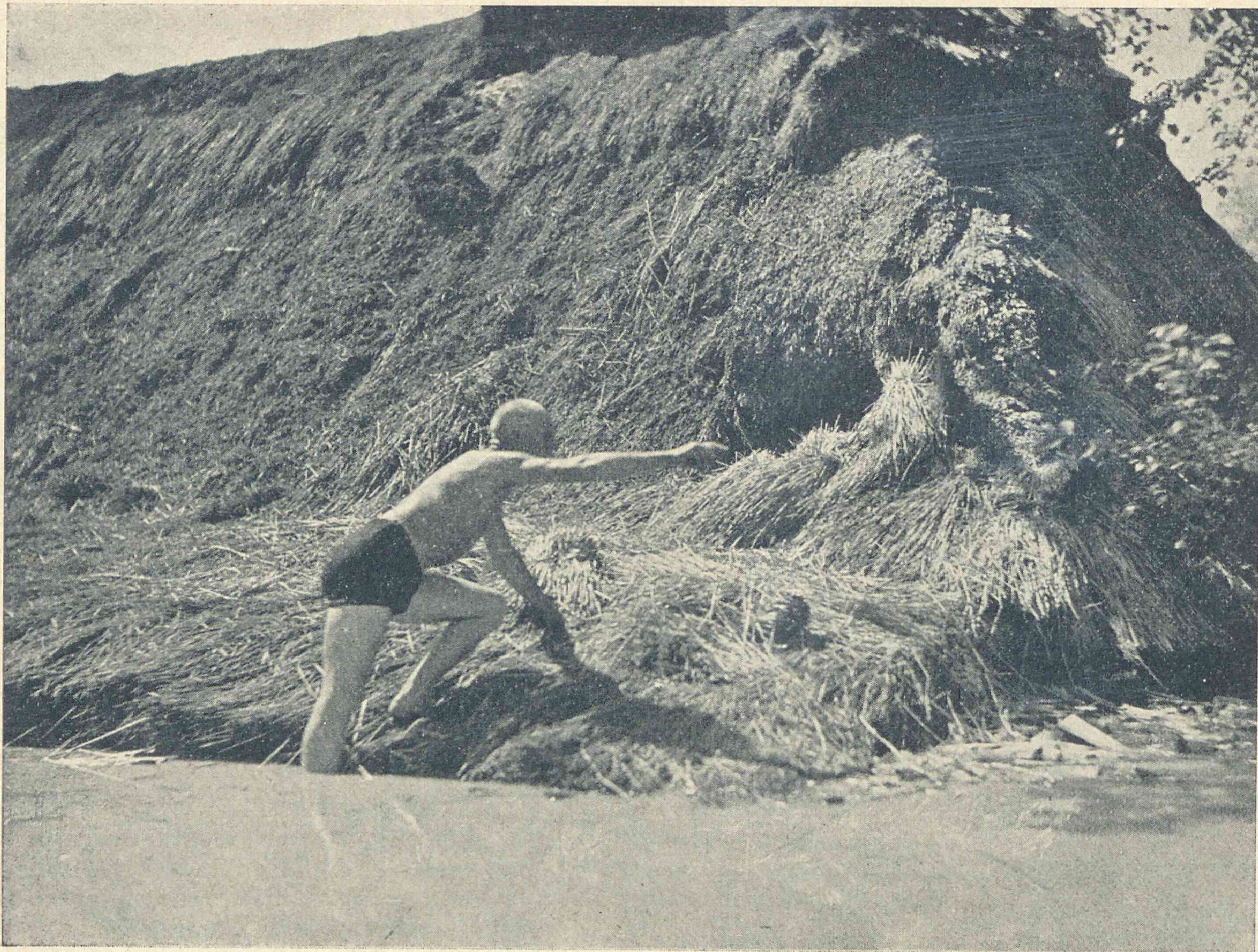
Tym czynem unaocznili tysiącom ofiar powodzi, że rząd o nich myśli, że państwo czuwa, że nie opuści ich w nieszczęściu. W tym czynie było więcej niż zapowiedź pomocy materjalnej.

Minister Kościałkowski po powrocie z tego objazdu terenu klęski stwierdził wielką ofiarność ratowników. Kolejarze, technicy wodni, władze administracyjne, ochotnicy przygodni rywalizowali ze sobą w poświęceniu. Odwaga, zawziętość, ofiarność *dla bliźniego* wystąpiła u tych ludzi spontanicznie, bezpośrednio — odezwało się serce ludzkie. Instrument w życiu społecznym powojennym coraz bardziej zanikający. W chwili nieszczęścia tryumfalnie dało znać o sobie—i to w tym kataklizmie jest wielką otuchą. Ludzie, którzy ryzykowali własne życie, ratując chorych, dzieci lub dowożąc im żywność, ludzie, którzy dobrowolnie dla ratowania cudzego dobytku chwytali za łopaty, by sypać wały, by po kilkadziesiąt godzin bez wytchnienia niemal walczyć z żywiołem, ludzie kierowani nakazem serca — to wielki moralny plus, jaki nam w dobie egoizmów powojennych i kryzysów ekonomicznych został.

Odsłoniły się zasoby sezamu moralnego, bezinteresownego dobra!

Bywa tak w godzinach wielkich





Zalana aż do dachu chata w Woli Gręboszowskiej. Przez otwór w strzesze saperzy wydobywali pozostałe w domu dzieci i chorych

Fot. Ryś

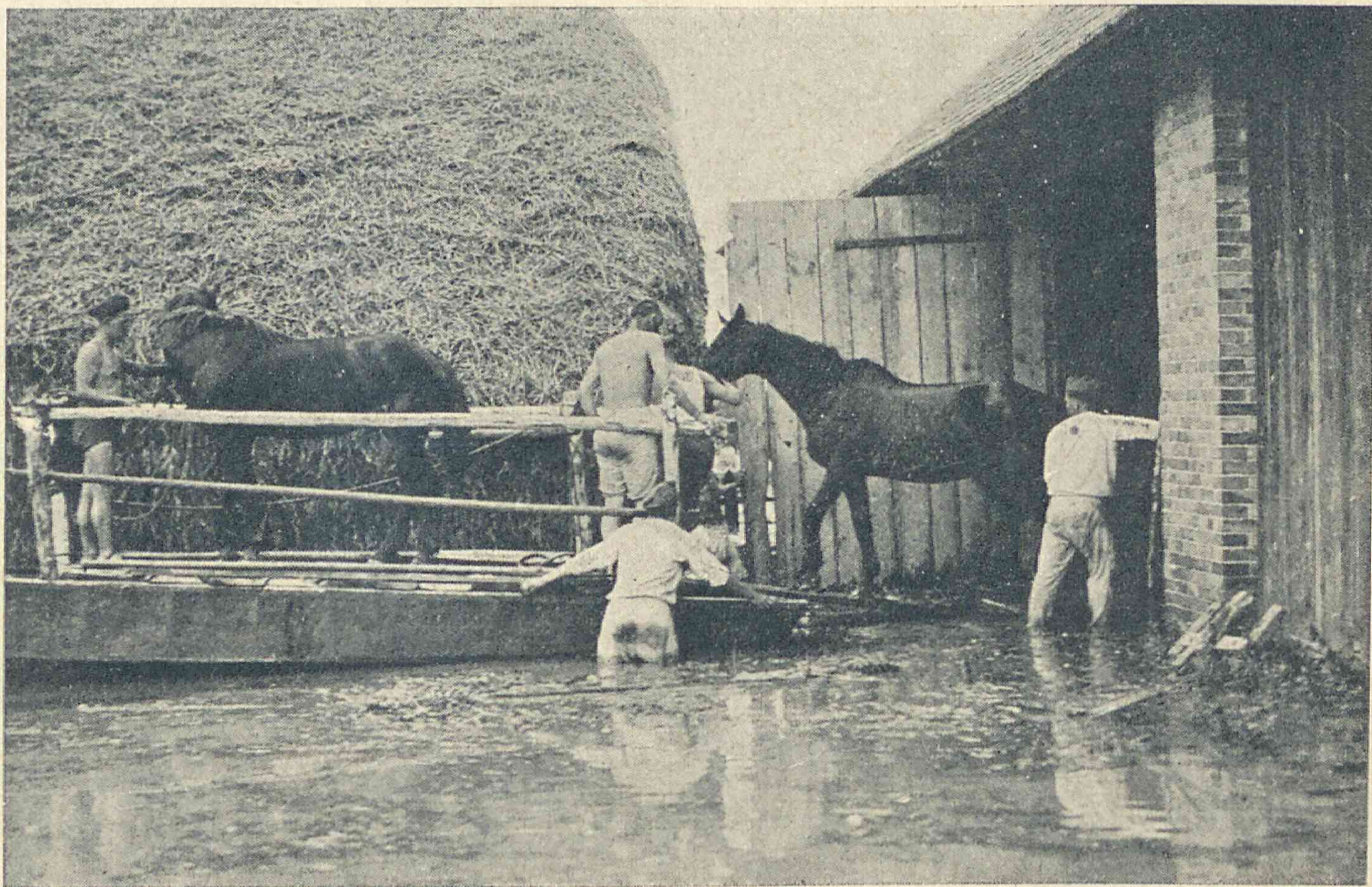
nieszczęść. Bywa tak i krzepi, świadcząc, że i człowiek może być człowiekowi bratem!

Tymczasowy prezydent Warszawy, p. Ołpiński, zwrócił się z wezwaniem do ludności stolicy o zgłaszanie się do sypania wałów, do zastąpienia dotychczasowych, upadających ze znużenia ratowników.

Już w pierwszych godzinach zgłosiło się około 200 osób.

Według oficjalnej statystyki byli to lekarze, inżynierowie, adwokaci, nauczyciele i t. p., którzy zgłaszali się do sypania wałów. Jednem słowem możemy zakonkludować: *zawsze ci sami!* Zawsze t. zw. inteligencja, zawsze są w pierwszym szeregu, nie bacząc na zupełną odmienność wymaganej od nich ofiary, czy pracy. Łopatę czy karabin chwytają, gdy do tego wzywa interes ogólny. Ci sami—warstwa najmniej zorganizowana, najboleśniej smagana przez kryzys, często traktowana z lekką pobłażliwością, gdyż nie stoi za nią przymiotnik masowości.

W ofiarności, w ratownictwie rywalizowały ze sobą w najszlachetniejszym oddaniu się liczne społeczne organizacje: harcerze, junacy, strzelcy, straże ogniowe, wykazując, iż pierwiastek poczucia obywatelskiego jest w nich na poziomie bardzo wysokim. Organizacją



Saperzy z Modlina ratują dobytek zagrody chłopskiej pod Wilanowem.





Zerwany most na Wiśle.

Fot. Ryś

zasługi czy waleczności w takich wypadkach to nietylko odznaka męstwa, to odznaka obywatelstwa i tej nie powinno się w takich razach skąpić.

Obok ratowników wojskowych w tym rzędzie zasłużonych znaleść się winni i ci obywatele cywilni, którzy stawili się na apel,—którzy walczyli z falą, ginęli lub padali z wyczerpania.

Naród ofiarom powodzi nie może poskąpić ofiar pomocy. Państwo tym, co zginęli w walce lub świecili przykładem nie powinno skąpić odznaki zasługi obywatelskiej.



Po przejściu potopu tak wyglądają „ocalałe" zabudowania

Fot. Ryś

pracy, celowością i ofiarnością pobiło jednak wszystkich -- wojsko. Tak świadczą sprawozdania wszystkich władz i korespondentów. Z radością notujemy ten fakt. Chluba i duma narodu, gwarancja państwowej obrony i granic — organizacja przygotowana na wypadek konieczności obrony — jeszcze raz dała dowód, jak ściśle zazębiona jest z całokształtem życia narodu. Ani jednego zachwiania się nie było z tej strony, tam gdzie nawet zainteresowani, sąsiedzi powodzi wykazywali braki, obojętność i nieuświadomienie obywatelskie — tam na fali tragicznej zjawili się jako ostatni, niezawodny ratunek—żołnierze armji polskiej. Jeszcze raz wojsko polskie zdało swój obywatelski egzamin.

Bolejąc nad licznemi ofiarami powodzi, tem boleśniej jednak musimy odczuwać ofiary ratowników. Ofiary żołnierzy i oficerów, których zagarnęła fala.

Padli, polegli *w czasie pokoju* dla dobra państwa.

Tym silniejszy jest tragizm tych niespodziewanych śmierci.

Hołd milczenia pełnego czci, słowa podniesienia piękna ich czynu — to zamało!

Ratownicy wojskowi, którzy zginęli w falach powodzi, winni być traktowani, jak ci, co wobec wroga okryli się specjalnem bohaterstwem. Odznaczenia, czy krzyże

OBOWIĄZEK

Ludzkim obowiązkiem wszystkich Polaków jest w tej chwili możliwie szybka pomoc ofiarom powodzi. Związki zawodowe pracowników określiły już wysokość ofiar, obowiązującą każdego pracującego Polaka. Wynosi ona 1% zarobków miesięcznych.

Współpracownicy „Świata" deklarują składkę w wysokości 1% miesięcznych poborów, na przeciąg trzech miesięcy: sierpnia, września, października. Pierwszą, sierpniową ratę, wpłacono już na konto P. K. O. Nr. 2200.

Jenocześnie wydawnictwo nasze ze swej strony wpłaciło jako pierwszą ofiarę zł. 50.

Wzywamy wszystkich naszych Czytelników do natychmiastowych ofiar na powodzian.

Głodni i bezdomni czekać nie mogą!

Przypominamy: P.K.O. — konto 2200.



Rozbitków, pozbawionych dachu ratowały wraz z ich inwentarzem pontony wojskowe w Opatowicach



Fot. Ryś



L. CHRZANOWSKI

STAŁA CENA PAPIEROWYCH GWARANCJI

Tak zwany Pakt Wschodni, Wschodnie Locarno, czy też Pakt Północno - Wschodni jak go już niektórzy przechrzcili, zajmuje całą prasę świata, wszystkie kancelarje dyplomatyczne.

Pogłoski, wersje, plotki, domysły krążyły na temat jego treści od stolicy do stolicy. Zanim poświęcimy uwag parę tej treści, jaką obecnie już można wyłuskać z zamierzonego paktu regjonalnego, zastanówmy się przez chwilę nad jego lansowaną nazwą: „Locarno wschodnie".

Przyczepianie dziś nazwy „Locarna" do omawianego paktu na wschodzie czy północno-wschodzie Europy jest błędem. A może nawet czemś więcej — *chęcią wprowadzenia kogoś w błąd!*

W swoim czasie Locarno zachodnie dokonało podziału bezpieczeństwa w Europie. Bezpieczeństwo *na zachodzie było gwarantowane* przez pakt Locarna, wschodowi tego bezpieczeństwa nie gwarantował nikt!

Kiedy wówczas, czy później mówiono o konieczności uzupełnienia tamtego paktu przez pakt wschodniego Locarna — to ci ministrowie, czy te dzienniki, które sprawę tę poruszały, rozumiały to jako konieczność rozszerzenia gwarancji bezpieczeństwa, istniejących w pakcie Lokarneńskim *na całą Europę*.

Temu rozszerzeniu gwarancji bezpieczeństwa na wschodnią część Europy opierali się i Streseman i Brünning i Schleicher i Papen i Schacht i zbiegły dziś exmin. Treviranus buńczucznie ongiś sięgający po granice Polski. Opierali się temu, co wówczas było istotne i podkreślane jako konieczne — rozszerzenie bezpieczeństwa.

Opierali się wszyscy jak widzimy i wygnani demokraci czy centrowcy, i zamordowani przywódcy Reichswehry i podejrzewani, „odstawiani" od wpływów konserwatyści.

Dziś nagle Niemcy ultranacjonalistyczne, Niemcy ideologicznej pałki gotowe byłyby na projektowany pakt, rzekomo chodzi tylko o ustalenie ceny za zgodę.

Ale nietylko cena gra rolę za tę pozorną zgodność, chociaż bowiem pakt ten nazywany jest również Locarnem wschodniem jest on w zamierzeniu zupełnie inny niż ten, o którym myślano, mówiono czy pisano ongiś.

Pakt Locarna zachodniego *jest gwarantowaniem granic*, pakt o którym się obecnie mówi *tej klauzuli nie zawiera*.

Ma to być pakt wzajemnej pomocy, wzajemnych dobrych stosunków czy innej... dobrej woli.

Ale mniejsza o nazwę. Niezależnie od tego, że nowy pakt projektowany nie wzmacnia w niczem bezpieczeństwa, ani istniejących już paktów, Niemcy skoro spostrzegły, że może on stać się papierem - fundamentem kompromisu pomiędzy Anglją, Francją i Włochami za wyrażenie swej zgody na ten nowy pakt poszły w targi.

Cena postawiona pozostała dawna. Pod tym względem solidność firmy wymaga przestrzegania „prix fixe". Za cenę więc uznania równouprawnienia zbrojeń i to zarówno defensywnych jak ofensywnych, Niemcy gotowe są na pakt, gotowe są na powrót do Genewy.

Mamy więc do czynienia ze starą, znaną, wypróbowaną metodą niemiecką. Różni się ona od linji rozwagi wielu dyplomatów europejskich z Mac Donaldami, Simonami, Hendersonami na czele; wówczas gdy ci biją w surmy sukcesu na widok dobrej woli niemieckiej, dyplomaci niemieccy, czy to będzie Streseman, Papen, Neurath czy Hitler zawsze konkludują: „płaćcie!"

Za nieopuszczenie konferencji genewskiej — płaćcie dozbrojeniem i równouprawnieniem. Nie chcecie — dowidzenia!

Za powrót na konferencję — płaćcie — dozbrojeniem i równouprawnieniem. Nie chcecie — dowidzenia.

Za pakt regjonalny dobrej woli — płaćcie dozbrojeniem i równouprawnieniem. Nie chcecie — dowidzenia!

My mamy czas, wasza solidarność nie może zdobyć się na próbę wytrzymałości, a my i tak nielegalnie będziemy się dozbrajać".

Ta polityka tak prosta, że aż prostolinijna nie wystarcza jednak dla uświadomienia związku zawodowego dyplomatycznych mgławicowców z Mac Donaldem jako sprężyną działania na czele.

Czasem do tej metody targów niemieckich — metody z punktu widzenia Niemiec trafnej, bo przynoszącej im korzyści — przyplątują się inne czynniki — intrygi międzynarodowej, bo tak a nie inaczej trzeba traktować „rozbieżności w interpretacji" rozmowy „mianej" w Londynie, gdzie na temat paktu ustalili swoje poglądy pp. Barthou i Simon.

Te rzekome rozbieżności jak maczugą rozbił w swej Bayońskiej mowie Barthou. Zaznaczył on mianowicie dobitnie: „gdyby odemnie wymagano, abym traktował o rozbrojeniu, aby otrzymać konkluzję Paktu Wschodniego, nie przyjąłbym podobnego, niczem nie usprawiedliwionego paralelizmu". A dalej jeszcze wyraźniej uzupełnił: „nie potrzebujemy znosić czvichś warunków i nikomu naszych nie narzucamy".

Próba więc Niemiec, aby przedstawić opinji świata, iż Simon i Barthou uzgodnili swą opinję, aby przyznać Niemcom prawo dozbrajania się *wzamian* za ich późniejsze przystąpienie do paktu — nie udała się. Być może, że na tle tego rzekomego nieporozumienia, dojdzie do nowych nieco kwaśnych międzynarodowych wyjaśnień. Być może, że pakt opóźni się, lub zawiśnie jak łatwowierna i piękna tęcza nad „dobrą wolą" niemicką. Wszystko jeszcze możliwe. Tendencja jednak odsłoniła się nawet dla żyjących w wygodnej iluzji, iż intencje Niemiec zmieniają się. Sprzedawanie zawsze tego samego towaru — zawsze bez gwarancji, zawsze za najwyższą cenę—oto jest wieczna wytrwała metoda.

Dać bezpieczeństwo na papierze, na dziesięciu, stu papierach — to Niemcom nigdy szkodzić nie będzie, byle mogły się zbroić... defensywnie i ofensywnie.

Ale przecież przeżywamy dwudziestą rocznicę, kiedy zajmowały się one darciem strzępków papieru!

A ileż miljonów tej dwudziestej rocznicy nie dożyło, płacąc za ten gest niemiecki — życiem!

OBIAD NA ŚWIEŻEM POWIETRZU.



— Bodaj to na świeżem powietrzu *człowiek* ma inny apetyt; *gdyby* nie te *muchy*, to na *resztę* możnaby nie uważać.

Rys. i tekst Fr. Kostrzewskiego

KALENDARZYK WARSZAWY
Z PRZED PÓŁ WIEKU
Czerwiec 1884 rok

NA LETNISKACH W MOKOTOWIE.

„Mokotów, Wierzbno i Królikarnia, jak zwykle roją się letniemi mieszkańcami z tą jednak różnicą, że w tym roku można tam spotkać wykwintniejszą publiczność.

Komunikacja tych miejscowości z Warszawą jest nadzwyczaj ułatwiona zapomocą omnibusów; zato daje się odczuwać brak sklepów spożywczych.

Przechadzki w tej miejscowości są obecnie utrudnione, gdyż park mokotowski przez założenie bawarji przy szosie belwederskiej o połowę został uszczuplony, park w Wierzbnie nie może wystarczyć dla wszystkich"

PORA OGÓRKOWA.

„Najlepszym dowodem następującej pory ogórkowej w całej pełni jest pewne unormowanie ruchu przyjezdnych. Kto miał opuścić Warszawę, ten już to uczynił, a przybywających jest niewielu, o czem świadczą niezajęte numery w hotelach.

W ostatnich trzech dniach przybyło do Warszawy koleją, statkiem, lub pocztą, 470, wyjechało zaś 483 osoby".

COŚ NIEBYWAŁEGO...

W pewnem kółku pań warszawskich agituje się myśl utworzenia ...kobiecego klubu wioślarzy.

Projekt ten ma być bliski urzeczywistnienia".

TAM, GDZIE TERAZ ALEJA 3-GO MAJA...

Aleja Jerozolimska na przestrzeni od Nowego Świata do Solca widocznie zapomniana została przez municypalność.

Nie ma ona bruku, to też w czasie suszy, daje przedsmak Sahary, a w razie niepogody przypomina chyba, sławne i już podobno dziś nieistniejące błota pińskie".

Taką notatkę umieszcza gazeta p. t. „Zapomniana".

„INDYJSKIE DZIWO".

„Wiele osób wyjeżdżając na letnie mieszkanie, zabiera ze sobą hamaki. Indyjskie to dziwo jest nowością dla mieszkańców wiosek, którzy wytrzeszczonemi oczyma przyglądają się temu kołysaniu dorosłych w siatce sznurkowej, nie szczędząc docinków:

Lud jest zawsze konserwatystą... nowych pojęć i form nowych nie przyjmuje nigdy bez opozycji".

„PRECZ Z BRODAMI!"

„Kapryśna moda nie ograniczając się do strojów kobiecych, bierze się teraz do zarostu panów.

Po kilkoletniem faworyzowaniu bród strzyżonych à la Henri IV modnemi się teraz stają bokobrody à la Commune, zmuszając zwolenników narości do poddawania się opiece golibrodów".

SKUTKI KANIKUŁY.

Nocy wczorajszej grono młodzieży, powracające widocznie z wesołej hulanki zaczepiało na Nowym Świecie przechodniów, a w szczególności kobiety, z których kilka zapraszało do tańca.

Są to zapewne skutki kanikuły, inaczej bowiem trudno wytłumaczyć niepoczytalne zachowanie ludzi, pozujących na inteligencję.

OBEREK „ZAWADJAK".

Pod tytułem „Zawadjak", napisał p. Lewandowski do jednodniówki przeznaczonej na powodzian dziarskiego i zamaszystego oberka.

Drobny ten utwór wykonany wczoraj zrana przez orkiestrę u wód mineralnych w Ogrodzie Saskim i wieczorem podczas przedstawienia w Teatrze Letnim zwrócił uwagę i zyskał oklaski.

KTO BYŁ W ZAKOPANEM?

„Zakopane stało się od niejakiego czasu miejscem odpoczynku letniego dla świata literackiego, artystycznego i uczonego.

Z Warszawy byli tu w pełnym sezonie: ks. Nowodworski, Kazimierz Zalewski, Teodor Choiński, Helena Boguska (Hajota), ze Lwowa: Aleksander Hirszberg, z Berlina: Ignacy Paderewski (kompozytor), z Paryża: dr. Juljan Ochorowicz.

Helena Modrzejewska jest spodziewana lada chwila". *(Kar. b.).*



„KUPIEC WENECKI" NA ULICY



„Venezia la Serenissima"



Minęły już te czasy, kiedy do Włoch zjeżdżali się na piękne plenery filmowcy z całego świata, a mistrze kinematografji włoskiej „kręcili" tymczasem w Szwajcarji, albo ścibolili sztuczne uroki natury... w atelier. Włosi dzisiaj świadomi są skarbów, które posiadają — i potrafią je w artystyczny sposób wyzyskać.

Kto spróbował smaku włoskich festynów sztuki pod gołem niebem, temu żaden teatr w dekoracjach podobnych wrażeń nie da. Przedstawienia tragików greckich w starożytnym teatrze Pompei czy Syrakuz, festivale muzyki kościelnej w Colosseum, widowiska klasyczne w starorzymskim teatrze w Ostji, ewolucje zespołów tanecznych na tle starogreckich świątyń w Paestum, recitale śpiewacze niezrównanego Beniamino Gigli na Placu Ś-go Marka w Wenecji i na wszystkich najpiękniejszych placach Italji, cykl widowisk operowych w amfiteatrze antycznym w Weronie, stara muzyka włoska rozbrzmiewająca bosko pod smyczkiem Arrigo Serato w lesie pustelni Ś-go Franciszka na górze La Verna — to serja wrażeń niezrównanych.

Dzisiaj przybywa do nich nowe: realizacja „Kupca Weneckiego" Szekspira w Wenecji — na ulicy.

Zabrał się do rzeczy wielki majster, Reinhardt, z całym sztabem dekoratorów, muzyków i aktorów Włochów.

Wybrano dość obszerny, w miarę odludny plac, zwany Campo San Trovaso, w cichej dzielnicy niedaleko Akademji Sztuk Pięknych, parę kroków za wspaniałym pałacem Contarinich na Canale Grande. Ku zdumieniu zacnych przekupek i czarnookich gondoljerów — zaczęto na placu wyprawiać dziwy.

Był tam na miejscu romantyczny wygięty mostek, i schodki, i ciemna woda kanału—Rio Ognissanti— i tajemnicze murki, i zaczarowane okienka ze zwisającemi warkoczami zieleni. Słowem — Wenecja prawdziwa, niepodrabiana. Ale naturę zawsze trzeba trochę poprawić — zwłaszcza gdy ma iść pod światło reflektorów. Więc tu coś przystawiono, tam dorobiono balkon, owdzie jakiś załamek ściany, nad wodą wąziutkie przejście, żeby aktorzy nie powpadali do Ria — i wyszło tło wymarzone dla tragicznych zmagań zaciekłego Shyloka z „Najjaśniejszą Republiką".

* * *

Nie raz już w swej karjerze opracowywał Reinhardt „Kupca Weneckiego". Lat temu trzydzieści wystawił go w Monachjum, w Künstlertheater, na scenie tak maleńkiej, że cała dekoracja zredukowana była do kawałka chodnika i jednej nadwodnej latarni. W Berlinie szedł „Kupiec Wenecki" w reżyserji Reinhardta w Deutsches Theater i w Grosses Schauspielhas, na wielkiej scenie. W Wiedniu — w Josephstheater.

Teraz dostał najpiękniejszą scenę, jaką wymarzyć mogła fantazja artysty: miał do dyspozycji całą Wenecję.

Ze zmianami dekoracji poradzono sobie tutaj bardzo poprostu: oświetlając tę część, która dla danego obrazu scenicznego była właśnie potrzebna. I tak bez trudu przechodziliśmy z domu Shyloka do pałacu Porcji, z mostu nad rio do parku w Belmonte,. Iluzję stwarzało światło. Ale plusk wioseł w kanale, chlupot wody o brzegi gondoli, czarność romantycznej, groźnej nocy weneckiej, gwiaździsty namiot nieba nad głową, słony zapach idący od laguny, nawet śpiewacy i nawoływania prostych ludzi gdzieś za zakrętem uliczki — to wszystko było prawdziwe. I wszystko to pod czujnem okiem Reinhardta stało się jedną cudowną harmonją głosów i barw Wenecji, na których tle wykwitała wiotka postać Porcji, granej z wdziękiem przez Martę Abbę, lub groźna figura Shyloka, którego powściągliwie i dostojnie interpretował Benassi.

Wspaniały rezultat pracy reżyserskiej Reinhardta był tym razem istotnie zdumiewający, jeśli się weźmie pod uwagę, że nie zna on języka włoskiego i prowadził swą pracę z aktorami, nie mówiącymi po niemiecku. Pomagał mu dzielnie jako tłomacz znany artysta włoski, Guido Salvini. Reinhardt z egzemplarzem włosko-niemieckim „Kupca Weneckiego" śledził bacznie każde

orkiestrę, ale każde słowo aktorów słychać było znakomicie.

Gdzie siedziała publiczność? — Zbudowano dla niej na placu żelazny amfiteatr trzypiętrowej wysokości, mieszczący *2300 osób*. Wysłano ławy czerwonemi poduszkami. Dla następcy tronu włoskiego, który specjalnie na ten wieczór przybył z Neapolu, ustawiono wielki złocony fotel. Słowem — gala w całej pełni, na najwyższą skalę. Przedstawienie to zorganizowane zostało przez komitet Biennale Weneckiej—i przyznać trzeba, osiągnęło sukces ogromny. Ludzie teatru zjechali się z całej Europy, dziennikarze — z całego świata, przedstawiciele sfer dyplomatycznych, rządowych, arystokracji włoskiej i cudzoziemskiej — zewsząd. Słowem to, co Włosi nazywają krótko: „Un bel pubblico".

Tryumf aktorów, muzyków, dekoratorów, był niezaprzeczony. Większy jeszcze tryumf odniósł Reinhardt, jako reżyser. Ale może największy — ta zwodnicza czarodziejka, której urokowi ulega każdy, kto się do niej zbliży: Venezia la Serenissima.

E. S.

Wenecja, w lipcu.



...na placu San Trovaso zaczęto wyprawiać dziwy...
(„Kupiec Wenecki" w reżyserji Reinhardta)

wypowiedziane przez aktorów słowo, i do każdego zdania dodawał swe komentarze, częstokroć powtarzając daną scenę po kilkanaście razy.

Było to dla aktorów włoskich poniekąd nowością. W zakresie reżyserji bowiem teatr włoski stoi naogół dość nisko—i poza kilkoma trupami pierwszorzędnemi aktorzy grają przeważnie własnym instynktem i fantazją — często genjalnie — czasem codzień inaczej. Tradycja „Commedia dell' Arte" jest w teatrze włoskim wciąż jeszcze bardzo żywa.

Mimo to potrafił świetny reżyser niemiecki wydobyć z włoskich artystów maximum karności przy jednoczesnem najpełniejszem wydobyciu ich możliwości scenicznych. Reinhardt oczarowany był finezją, inteligencją i bogactwem intuicji włoskich aktorów — i w wielu wypadkach dopuszczał nawet pewne odchylenia od zakreślonej przez siebie linji roli, uznając, iż ujęcie jej przez danego artystę odpowiada charakterowi postaci i środowiska.

Całość przedstawienia wypadła imponująco.

Reinhardt dla dzieła scenicznego wymaga zawsze muzycznego dopełnienia. Trudnego zadania podjął się znany włoski kompozytor, Victor de Sabata, i stworzył atmosferę dźwiękową dla całości dzieła wymowną i porywającą, zwłaszcza w chwilach karnawałowego szału. Ukryta przed oczami publiczności orkiestra umieszczona była na pomoście, specjalnie zbudowanym na palach nad kanałem — dźwięki jej łączyły się z szumem fali i tchnieniem weneckiej nocy. Akustyka placu okazała się świetna: nietylko





...chlupot wody o brzegi gondoli...





Tardieu oblężony przez dziennikarzy

TYDZIEŃ ŚWIATA

Atak Tardieu

(l) Nic nie pozwalało przewidywać, że normalny, kanikularny bieg wydarzeń paryskich zostanie zakłócony. Prezydent Doumergue spokojnie udał się na zasłużony wypoczynek do swej letniej samotni w Tournefeuille, najbliższa rada gabinetowa wyznaczona została na 7 sierpnia, obie izby korzystały już z wakacji w pełni, posłowie rozjechali się, „wielki sezon" rozrywek skończył, śledcze komisje parlamentarne wykańczały swe prace.

Królestwo upału obejmowało w swe władanie brzegi Sekwany.

Aż tu naraz bomba!

Zeznanie Tardieu przed komisją śledczą w sprawie Stawiskiego i jego czeków!

Zeznania te były niezwykle agresywne — były premjer nietylko dawał wyjaśnienia, ale i zaatakował bardzo ostro również b. premjera Chautemps'a zarzucając mu, iż pokrywał machinacje Stawiskiego. Konfrontacja obu b. premjerów była wysoce dramatyczna. Zarzuty Tardieu nie daleko odbiegały od zarzutów formułowanych pod adresem Chautemps'a przez prasę umiarkowaną, prawicową i zbliżoną do byłych kombatantów. Starcie to zachwiało gabinetem Zjednoczenia Narodowego. Obóz radykałów zawrzał gniewem. Zwołano Radę Stronnictwa, Herriot wezwany z Lyonu, aby swym autorytetem decydował, uspakajał i wyrokował, pospieszył na odsiecz Rządowi i Stronnictwu. Rewelacje Tardieu stawiane „oko w oko", sprecyzowane i jak harpunem whaczające się w rozkład obyczajów politykanckich zatrzęsły sumieniami i odpowiedzialnościami. Zbiegły się one z oskarżeniami, jakie złożył prezydentowi Doumergue'owi syn zamordowanego sędziego Prince'a.

Ale w tym docieraniu do dna skandalów parlamentarno - bankowych paryskich jest coś więcej. Jest zderzenie się dwuch typów, dwuch ekip ludzkich. Możnaby powiedzieć, że ludzie Clemenceau — jego dawni i blizcy współpracownicy, „ludzie Wersalu" — Tardieu, Mandel, b. kombatanci, poczęści Barthou—zderzyli się z tą częścią obozu radykalnego, która bliska Malvy'emu, ówczesnemu Caillaux była specjalnie rozgromiona przez „Tygrysa".

Ludzie ci są usposobieniami bardzo różni. Politycznie mają za sobą inne choć pokrewne grupy. Temu przypisać można po części, iż zderzenie Tardieu — Chautemps miało w sobie gwałtowność, brutalność i bezwzględność.

Podróż do Tallina

(l) Podróż ministra Becka do Tallina wywołała żywe zainteresowanie w prasie zagranicznej. Dzienniki berlińskie puściły już nawet wodze swej „bezinteresownej" fantazji.

Podróż ta, stanowiąc odbicie dawnego i stałego kontaktu Polski z krajami bałtyckiemi, jest zrozumiałym tego kontaktu refleksem.

Nie ulega wątpliwości, że gdy lansowane są projekty paktu —niesłusznie nazwanego Locarnem Wschodu—Polska, wyznająca zawsze zasadę współpracy, solidarności czy porozumienia z naszymi sąsiadami nad Bałtykiem i w tej sprawie chce i może z niemi porozumieć się. Nie powinno to jednak dawać pola do fantazjowania — bo sprawy są jasne i proste. Przyjacielska życzliwość, panująca między Tallinem i Warszawą, Warszawą i Rygą nie powinna być dla nikogo niespodzianką. Istniała ona oddawna i wielokrotnie dawała o sobie znać czy to na terenie Ligi Narodów czy na innych.

Anglja o Sowietach

(l) Kwestja przystąpienia Sowietów do Ligi Narodów szeroko jest komentowana w Anglji. Ma ona gorących zwolenników ma i zaciekłych przeciwników. „My brytyjczycy — pisze Daily Mail — musimy mieć się na baczności, aby nas nie wciągnięto w komplikacje z Japonją. Przecież jednym z celów nowej polityki sowieckiej jest niewątpliwie chęć otrzymania poparcia innych państw przeciw Japonji i do wyzyskania wszystkich sił Ligi Narodów do usunięcia Japonji z północnego Mandżukoo".

Natomiast organ Partji Pracy „Daily Herald", aprobując decyzje rządu obu rękami, pisze: „Jest to wydarzenie kapitalnej wagi i w zakresie dotyczącym Europy jest absolutnie niezbędne, aby Sowiety wstąpiły do Genewy, a Niemcy żeby tam powróciły. Rekonstrukcja Ligi Narodów, jej wzmożenie się na tyle, aby każdy ewentualny napastnik—niezależnie od swej potęgi—wiedział, że kara będzie natychmiastowa i tak definitywna, aby nie śmiał na nią się narazić — oto podstawowe warunki utrzymania pokoju".

Konserwatyści więc i prawicowcy wraz z wstąpieniem Sowietów do Ligi obawiają się możliwości wciągnięcia Anglji w komplikacje wojenne na Dalekim Wschodzie. Socjaliści w przystąpieniu Sowietów do Ligi widzą gwarancje pokoju...

Jak widzimy wszyscy troszczą się o pokój, tylko o pokój i... pokój kwitnie.

Cenzura Goebbelsa przeciw cenzurze Hitlera

(—) W okresie zdobywania władzy i dobrych stosunków ze swymi adjutantami Hitler wystawiał im świadectwa zasługi i uznania. W tych cenzurach dobrego sprawowania zabity Roehm otrzymał stopnie celujące. „To prawie wyłącznie dzięki jego zręczności — pisał Hitler w liście z racji pierwszej rocznicy reżymu—w kilka lat ten instrument polityczny (S. A.) stał się zdolny do rozwinięcia siły, która umożliwiła mi powodzenie w walce o władzę przeciw wrogowi marksistowskiemu.

Muszę ci podziękować mój Erneście Roehm za niezniszczalną zasługę, jaką oddałeś ruchowi narodowo-socjalistycznemu i narodowi niemieckiemu".

Innego rodzaju cenzurkę sprawowania wystawił w swej mowie 1-go lipca Goebbels temuż „zasłużonemu" i jego wyznawcom: „zdyskredytowali oni honor i autorytet na-

szych oddziałów szturmowych. Przez bezprzykładnie rozwiązłe życie, przez afiszowanie używania i rozpusty przynieśli ujmę zasadom skromności i czystości osobistej, które są zasadami naszego ruchu".

A przecież Roehm oświadczał, że nie dopuści do „podłości"; że jest strażnikiem czystości rewolucji!

Różne są „cenzurki" *przed* i *po* dacie rozprawy przyjacielskiej z 30-go czerwca.

Jesteśmy gwarantami rewolucji

„Jesteśmy nielubiani przez wielu — mówił Roehm podczas rewji w Essen 16 marca 1934 r. — ponieważ jako wyznaczeni przez Adolfa Hitlera na gwarantów prawdziwej rewolucji niemieckiej nie będziemy tolerowali zagnieżdżenia się ponownie ducha biurokracji, podłości i służalstwa; ponieważ my właśnie czuwamy, aby pozostać rewolucjonistami wiernie oddanymi naszemu Führerowi, jego ideom i filozofji narodowego socjalizmu".

30 czerwca „gwarant rewolucji prawdziwej" wyznaczony na tę godną rolę przez Hitlera został z woli tegoż „naszego Führera" w sposób uproszczony zastrzelony.

Gdzie wasze serca!

Od chwili, gdy Wisła pod Warszawą zaczęła przybierać, kilka większych klubów, położonych w okolicy mostu Poniatowskiego, przepełnionych jest stale członkami i „wprowadzonymi gośćmi", obserwującymi groźny żywioł.

Śnieżno białe obrusy na stolikach, zastawionych przekąskami, alkoholami i smacznemi potrawami, jakoś nie dają się pogodzić z myślą, że o kilka kilometrów dalej toczy się zaciekła walka człowieka z rozszalałą wodą, a nieszczęśliwi powodzianie godzinami wyczekują na kawałek chleba, lub kubek gorącej herbaty.

Wieczorami w rzęsiście oświetlonych klubach zwolennicy bridża, mogą grać wysłuchując jednocześnie radjowych komunikatów o klęsce powodzi.

O ileż piękniej byłoby, gdyby bywalcy klubowi sumy wydane na „zaspokojenie głodu", lub też... rozgrywane w karty ofiarowali do dyspozycji komitetu ratunkowego. Byłby to dowód, że najpiękniejsze z przykazań o miłości bliźniego, nie jest tylko czczym frazesem.

Nie mniej przykre wrażenie wywołał komunikat Zarządu Uzdrowisk w Zakopanem, rozesłany prasie, w którym powiedziano między innemi, że mimo katastrofy powodzi i zalania niżej położonych dzielnic, życie sezonowe toczyło się „normalnym trybem", a „wszystkie lokale rozrywkowe bez przerwy były czynne".

Z ŻYCIA WILNA

WYŚCIGI W WILNIE

Steeple Chase im. Marszałka Piłsudskiego. Zwycięzca por. Goszczyński na klaczy Gri - Gri.



TRYBUNA SĘDZIOWSKA

Wraca do wag zwycięzca Steeple-Chase'u im. płk. Beliny - Prażmowskiego, por. Gromnicki na klaczy Gloria.



Fot. Pełczyński



KOLONJA DLA UBOGIEJ DZIATWY W KUPRJANISZKACH

Akcja charytatywna BBWR. na terenie Wilna objęła w tym roku najuboższe sfery miasta, dzieci rodziców bezrobotnych.

Przy pomocy społeczeństwa i wojska, które zaofiarowało wszystkie sprzęty udało się zorganizować kolonję w Kuprjaniszkach na 150 dzieci. Na kolonję do Świętnik wysłano 20, a na kolonję do Karolinki 40 chłopców, następnie na półkolonję do Ponar 150 dzieci.

Akcja ta na terenie miasta spotkała się z uznaniem i wdzięcznością całego społeczeństwa.

Na zdjęciu widzimy kolonję dla dzieci rodziców bezrobotnych w Kuprjaniszkach.

P. Poseł Birkenmayer wśród dzieci kolonji rozdaje cukierki



PRZEZ ZADYMIONE SZKIEŁKA
ST. TROPEZ



...niemało trzeba posiadać rezygnacji, aby bez buntu dźwigać opasłe Prowansalki...

St.-Tropez! Kto go nie zna, ten nie należy do eleganckiego świata bogatych próżniaków i nie jest artystą. St-Tropez jest naprawdę uroczo-piękne, ale nie trzeba myśleć, że to jest przyczyną ogólnego zainteresowania. St-Tropez stało się poprostu modne. A przecież do niedawna nie istniało ono wcale, i to nietylko dla ciasnego „światka", ale nawet dla całego świata. Bo faktu, że poczęło się kiedyś, w czasach historycznych, nie bierze się pod uwagę. Było to istnienie embrjonalne. Żywot prawdziwy tego miasta datuje od „wczoraj".

St-Tropez odkryli kilkanaście lat temu malarze w czasie włóczęgi po świecie za pięknemi widokami. Do czasu tej słynnej inwazji malarzy St-Tropez odwiedzali jeno kupcy, bo była to kraina „winem i oliwą płynąca", a czasem ludzie przemęczeni hałaśliwym trybem życia wielkomiejskiego. St-Tropez wówczas było ciche i czarująco zaspane. Ludzi prawie się nie spotykało, a po szerokich gościńcach i wężykowatych dróżkach przylądka chodził sobie tylko wiatr.

Nikt poza nim nie uprawiał — i zresztą nie uprawia — pieszych wędrówek. Dawnym i obecnym środkiem lokomocji są woły i osiołki. Te ostatnie są czemś w rodzaju narodowych rumaków Prowansalji. Trzeba przyznać na pochwałę tych stworzeń, że brak majestatu okupują ludzką prawie rezygnacją. Albowiem niemało trzeba posiadać tego uczucia, aby bez buntu dźwigać opasłe Prowansalki. Bo choć na świecie nastało panowanie kobiety smukłej, Prowansalja jest dotąd królestwem tęgich kobiet.

Pierwsi zjawili się tu oczywiście malarze-Anglicy, a właściwie Angielki, które, nie zrażając się wrogiem przyjęciem, z lubością i talentem kopjowały cuda tego zakątka. Gdyby nie one, St-Tropez spałoby dotąd dla świata, zato obecnie stało się ośrodkiem nowej wędrówki narodów.

Już od wczesnej wiosny zjawiają się cudzoziemcy. Bogaci, a tych jest najwięcej, przylatują tu własnemi aeroplanami do własnych willi i zamków, lub przypływają własnemi jachtami. Ludność zwie te ostatnie „ptakami morza". Nazwa najzupełniej wadliwa. O ileż piękniej wyglądają przy nich istotnie uskrzydlone kolorowemi żaglami łódeczki rybaków!



...zarówno młoda muskularna Wenus amerykańska...

Od czasu kiedy cudzoziemcy orzekli, że St-Tropez, jest „modne i szykowne", przewróciło się mieszkańcom jego poprostu w głowie. Powstała potworna drożyzna, która nauczyła ludzi wyższej i skomplikowanej matematyki nieuczciwego zysku, a łatwość niezasłużonego zarobku rozleniwiła ich do reszty. Samo miasteczko St-Tropez jest żywym symbolem swoich mieszkańców. Wysunięte w głąb morza drzemie w słońcu przez rok cały, jak najleniwszy z morskich ślimaków-arapede, który rodzi się, żyje i umiera na skale, nie posunąwszy się przez całą swą egzystencję nawet o centymetr.

Co pociąga cudzoziemców właśnie do St-Tropez, trudno zrozumieć. Francja ma takich zakątków tysiące. Nieprawdą jest wszystko co piszą o St-Tropez sportowe pisma i prospekty Cook'a, o „czarującym klimacie" i „słodyczy obejścia ludności". Pożal się Boże z takim klimatem!

St-Tropez stoi twarzą w twarz z potężną zawieją zwaną Mistralem*). Chłoszcze on przylądek przez rok cały, a nienawykłe doń nerwy cudzoziemców odrazu wyprawiają brewerje. Jest to bowiem wiatr, którego panowanie rozciąga się nietylko na rzeczy zewnętrznego świata. Na głos jego budzą się w ludziach zapomniane gniewy i poniechane urazy.

Co tu kłamać o łagodnym charakterze mieszkańców! Dość przejść się w dzień Mistrelowy po mieście. Wszystko się kłóci, złości, złorzeczy, podniecone wiatrem, a martwe przedmioty uwijają się śród ogólnego rozgardjaszu, ożywione na moment potężną wolą złośliwego wichrzyska. Nawet leciwi starcy, drzemiący bezczynnie w słońcu przez dnie całe, budzą się na zew wichru, pełni urazy do całego świata. Stara, spokojna gospodyni dostaje raptem napadu szału na widok plaży ze skwirczącymi się w jej rodzimem słońcu cudzoziemcami, choć kilkakrotnie już mijała te widoki bez żadnego wrażenia. Obecnie wszystko ją gorszy: zarówno

---

*) Wiatr północno - zachodni



...jak i lokalne okazy ludzkie o bardziej rozlanej budowie...

młoda, muskularna Wenus amerykańska, jak i lokalne okazy ludzkie o bardziej rozlanej budowie.

Ale najgorszą sromotą wydaje się jej w ten dzień fakt noszenia spodni przez kobiety. Bo całe St-Tropez nosi teraz spodnie, i smukłe cudzoziemki i tęgie Prowansalki. Nikt jednak w dzień pogody, nie spostrzega w nikim stron ujemnych. Ale zato w dzień Mistralu! Wszyscy kpią i gryzą się wzajemnie. Jest to sprawka wiatru, który złośliwie psoci. Obawiam się też, czy nie nawiał i do mojej głowy tych uszczypliwych uwag i nie zaostrzył złośliwością mego rysowniczego ołówka.

Zofja - Wanda Zaniewicka.



...wszystko się kłóci, złości, złorzeczy...

ZAGADKOWA KRADZIEŻ

U jednego ze znanych przemysłowców warszawskich popełniono przed paroma tygodniami tajemniczą kradzież. Ze skrytki w ścianie, znanej tylko samemu właścicielowi, zginął pakiet papierów wartościowych i dolarów w złocie, ogółem wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych. Skrytka była urządzona w murze specjalnie już przy budowie willi, według wskazówek właściciela, i ukryta została pod obrazem, nigdy ze ściany nie zdejmowanym. Dla bezpieczeństwa zamknięta była na bardzo skomplikowany zamek, do którego klucz posiadał tylko sam właściciel.

Niema jednak, jak się okazuje, zamka dla złodzieja. Zwłaszcza dla złodzieja domowego. Bo oto chcąc pewnego dnia wyjąć jakąś sumę ze skrytki, przemysłowiec z przerażeniem spostrzegł — że jest ona pusta! Podejrzenie padło natychmiast na służbę — aresztowano kilka osób bliżej z nią związanych — policja prowadziła energiczne śledztwo, sąd dociekliwą sprawę.

Wszystko napróżno! Wprawdzie lokaj przemysłowca skazany został na półtora roku więzienia — jednak poszkodowany ani części swej własności oczywiście nie odzyskał. Sąd uznał, że brak jest dowodów ażeby inni oskarżeni z pośród służby brali udział w kradzieży — wobec czego cała sprawa wykradzenia złotych dolarów nadal pozostaje zagadką.

I pomyśleć, że istnieją w P. K. O. znakomicie urządzone, świetnie strzeżone, stuprocentowo pewne kasetki, gdzie za nieznaczną opłatą można przechowywać góry brylantów bez najmniejszej obawy kradzieży...

Słusznie mówi przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie..."

NOWA KACZKA AMERYKAŃSKA

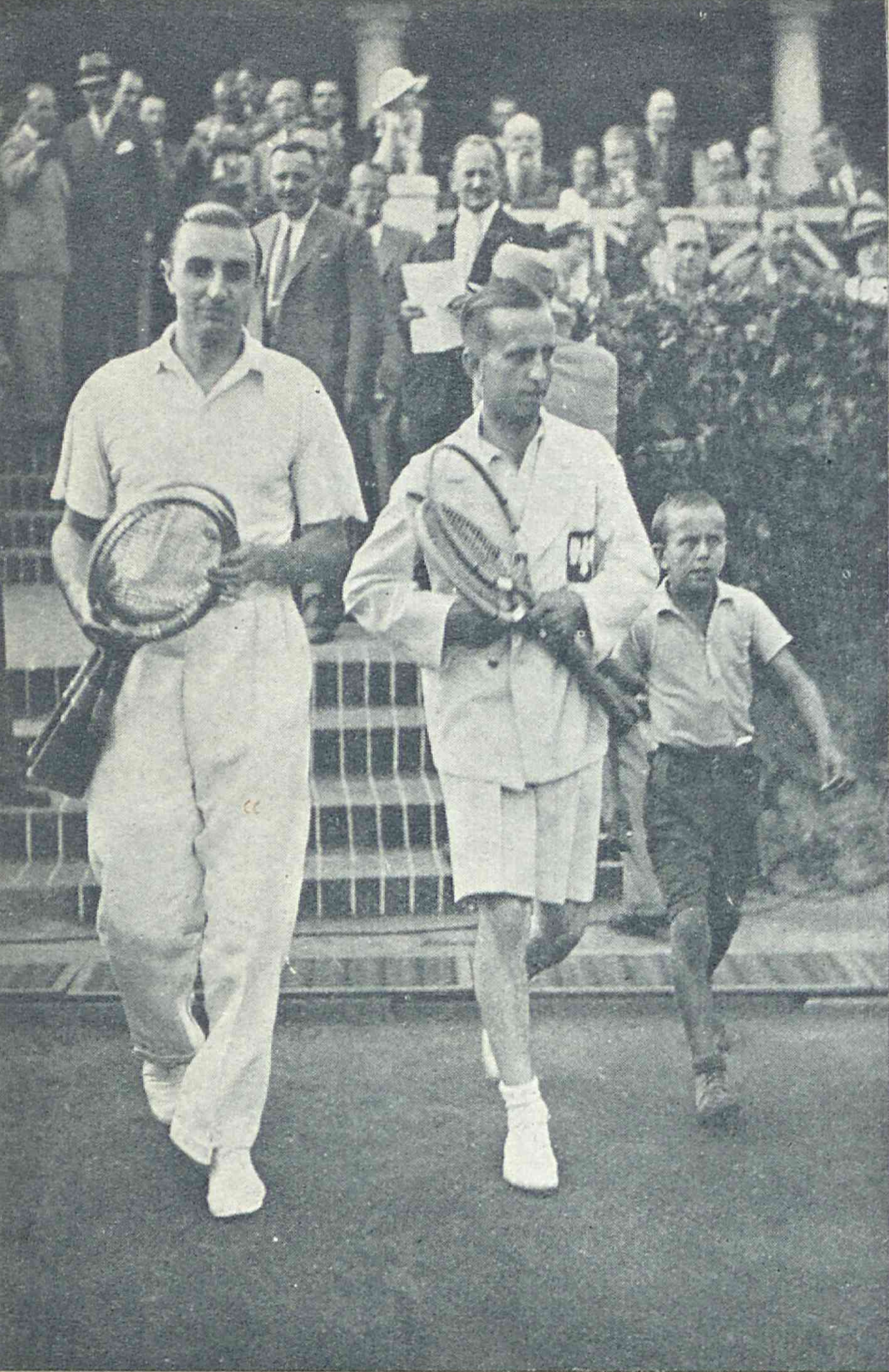
(x) Lato zazwyczaj sprzyjało wylęgowi kaczek dziennikarskich. Amerykańscy reporterzy w tej hodowli dotychczas trzymali prym. Słynne węże morskie „lęgły się" od lat w pełni lata na szlaku oceanicznym parowców kursujących między Ameryką a Europą. Ostatnio jak pamiętamy wąż ten „wylądował" w jeziorze szkockiem, coby świadczyło, iż pełza on wcale nieźle lub że ma umiejętność przekształcania się w latającą rybę. Teraz jednak mamy nowy wynalazek kaczkowo - dziennikarski „mówiące niemowlę". Tak jest — przemówiło ono niezwłocznie po urodzeniu się. Miało to miejsce w Meksyku. Rozmowny noworodek natychmiast po wkroczeniu na ten padół wykrzyknął do ułatwiającego mu podróż lekarza: „Oczekuje was sześć miesięcy katastrof, co wolicie trzęsienia ziemi, czy trąby powietrzne"?

Trzęsienie ziemi — zadeklarował „urzędujący" ginekolog.

„Tak się stanie" —wykrzyknął... obiecujący gadacz i natychmiast z proroczego wysiłku skonał.

Ten bolesny finał fenomenalnie zapowiadającego się gaduły, nie pozwala niestety na zebranie o nim uzupełniających danych. Ale podobno „cały Meksyk" podzielił się na dwa obozy, wierzących „w cud" istotnie cudownego dziecka i nie wierzących w gadające niemowlę.

O PUHAR DAVISA



Tłoczyński i Lacroix wchodzą na kort

Fot. Ryś



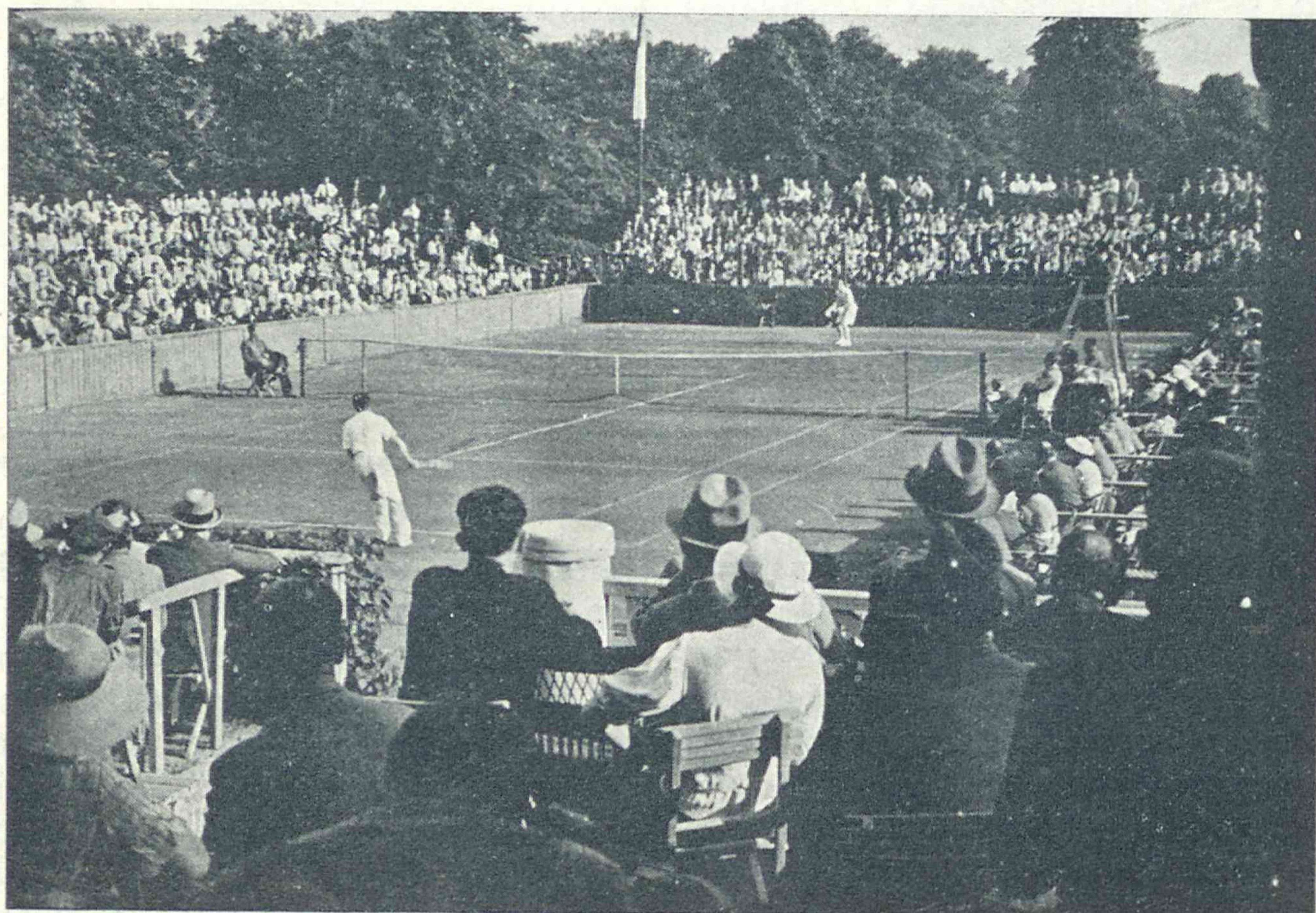
Loża dyplomatyczna. Pierwsza z prawej strony pani Caballero, małżonka Argentyńskiego Chargé d'Affaires

Fot. Koch

Hebda pomimo talentu, pomimo formy może przegrać z graczem słabszym! Nerwy, brak opanowania? Zapewne — ale w dużej mierze grać tu musi rolę świadomość, *że mu się powszechnie nie dowierza.* W grze swojej z Lacroix, Hebda wykazał, że skoro gra... dla przyjemności, bez odpowiedzialności reprezentacyjnej — gra o sto procent lepiej.

Sądzimy, że dla wzmocnienia nerwów Hebdy, dla odzyskania przezeń wiary w swe siły i zdolności powinien on więcej, częściej grywać w stolicy — Hebda to nie jest jeszcze punkt stracony w reprezentacji.

Natomiast słaby punkt nasz „duble" pozostanie słaby, dopóki nie zdecydujemy się nareszcie na „zgranie" stałego *średniego* zespołu. Miejmy najpierw taki, który rozumiejąc się zespołowo zacznie być *wzorem* pożytecznej, poprawnej gry — gdy taki zespół stworzymy, nie z myślą o wygranie nim punktu w Puharze Dawisa, lecz z myślą pedagogiczną, następny prawdziwie dobry duble sam się urodzi.



Widok kortu podczas gry Lacroix z Hebdą.

Fot. Koch

Tenis polski zrewanżował się Belgji, za klęskę z przed lat.

Wygraliśmy 4:1.

Wygraliśmy dzięki talentowi i ambicji obu naszych singlistów. Z przyjemnością notujemy ten fakt, bo jeśli Tłoczyński pod tym względem przedstawia dla nas zawsze murowany punkt, to Hebda jest stałą niewiadomą. Tłoczyński może przegrać z graczem silniejszym, lepszym — to każdemu może się zdarzyć — ale Tłoczyński zawsze walczy. W formie lepszej, w formie gorszej Tłoczyński do ostatniej piłki nie wierzy w swoją przegraną. Dzięki tej ambicji tak doskonale rozwinął swój talent, dzięki niej zdobył sympatję publiczności.

Fot. Koch

Najsurowsi sędziowie, często przyszli championi tennisa: chłopcy do zbierania piłek



ŚWIAT TEATRU

TEATR POLSKI

„Rozkoszna dziewczyna" — komedja muzyczna R. Benatzky'ego, w przeróbce Juljana Tuwima. Reżyserja J. Warneckiego. Dekoracje W. Daszewskiego. Kostjumy Ireny Lorentowicz - Karwowskiej.

Anglicy może dlatego są tak zdrowym narodem, że umieją — bez żadnego wstydu — głupio się bawić. Wszechświatowej sławy uczony, profesor Uniwersytetu Oxfordzkiego, w gronie innych powag, jak znakomity adwokat i niemniej sławny mąż stanu — w miłem a bezmyślnem towarzystwie dam i dzieci w jakieś niedzielne dżdżyste popołudnie w szwajcarskim hotelu potrafią z zapałem dmuchać w wyskubane z poduszek pióreczka, puszczone w zawody po salonie, i pełzać na czworakach, aby nie dopuścić do światowej wprost katastrofy, jaką się wszystkim zdaje opadnięcie tegoż pióreczka na podłogę.

Polacy wyrośli wysoko ponad takie zabawy. Lubią się nosić uroczyście, a zamiast głupio się bawić, wolą dostojnie się nudzić. Dlatego może pewien sprawozdawca teatralny zaopinjował np. iż *„aby bawić się na „Klubie Kawalerów" trzebaby najpierw stępić zmysł estetyczny i uśpić inteligencję. A jest to zabieg bolesny i zbyteczny. Czyż strzęp satysfakcji, jaki może nam dać takie przedstawienie, wart jest choćby jednej minuty autodegradacji?"* — zapytuje dramatycznie ów sprawozdawca.

Skóra cierpnie na myśl, jak taki ponury Katon sądzić zechce miłą błahostkę, jaką jest „Rozkoszna dziewczyna", w której się opowiada, jak córka Króla Czekolady zakochała się w pięknym i ubogim referencie, i postanowiła go zdobyć. Jak się to wkońcu stało, jakie były perypetje, jak Romanówna kokietowała opornego i cnotliwego Syma, jak im pomagało to wcielenie djabelskiego humoru, któremu na imię Adolf Dymsza — tego się tu naturalnie szczegółowo opowiadać nie będzie. Lepiej, aby czytelnik poszedł obejrzeć to własnemi oczami.

Przedstawienie jest czarujące. Benatzky dostarczył do niego tylko owego przysłowiowego kołka bronowego, z którego Teatr Polski uwarzył iście królewski „potage".

Liczni byli kuchmistrze i dostarczyciele smakowitych przypraw do tej zupy. Tuwim jako tłomacz — na szczęście nie trzymał się ściśle oryginału, lecz hulał wedle własnej fantazji, co sztuce dało lekkość, ciętość i literacki poziom. Warnecki puścił w ruch aktorów w doskonałem tempie. Dekorator Daszewski dał „Rozkosznej dziewczynie" wesołą barwną oprawę sceniczną. Irena Lorentowicz-Karwowska ubrała wszystkie kobiety zabawnie i dowcipnie. Kapelmistrz Müller sprężyście dyrygował orkiestrą i solistami, Koszutski ze smakiem przygotował stronę choreograficzną. Wreszcie wszyscy aktorzy grali doskonale.

Nowe możliwości ujawniła Romanówna, którą jako artystkę komedjową Warszawa tak lubi i ceni. Okazało się, że ma ona głos niewielki, ale bardzo miły, którym operuje z bezbronnym, a rozbrajającym wdziękiem. Jej pół-wesołe, pół-zamyślone piosenki nucone były tak ujmująco, że przecież i Sym musiał to wkońcu spostrzec. Sym, tutaj był tylko tem, czem mu dotąd zawsze być kazano: pięknym chłopcem, gwałtownie zdobywanym przez kobiety. Grał tę rolę z wielką już wprawą. Dymsza po raz pierwszy w życiu miał tyle miejsca na swe epokowe piruety i sztuczki. Był świetnym Dymszą — więcej niczego nie trzeba. Cała pozostała obsada: Fabisiak, Orska, Małkowski, Kołpikówna, Milecki, Niwińska, Pichelski, Koczanowicz i Jabłoński, odegrali swe większe i mniejsze role z humorem, przyczyniając się walnie do zwycięstwa, które na całej linji odniosła „Rozkoszna dziewczyna".

Z. N. Ch.



Rozkoszna dziewczyna — Janina Romanówna

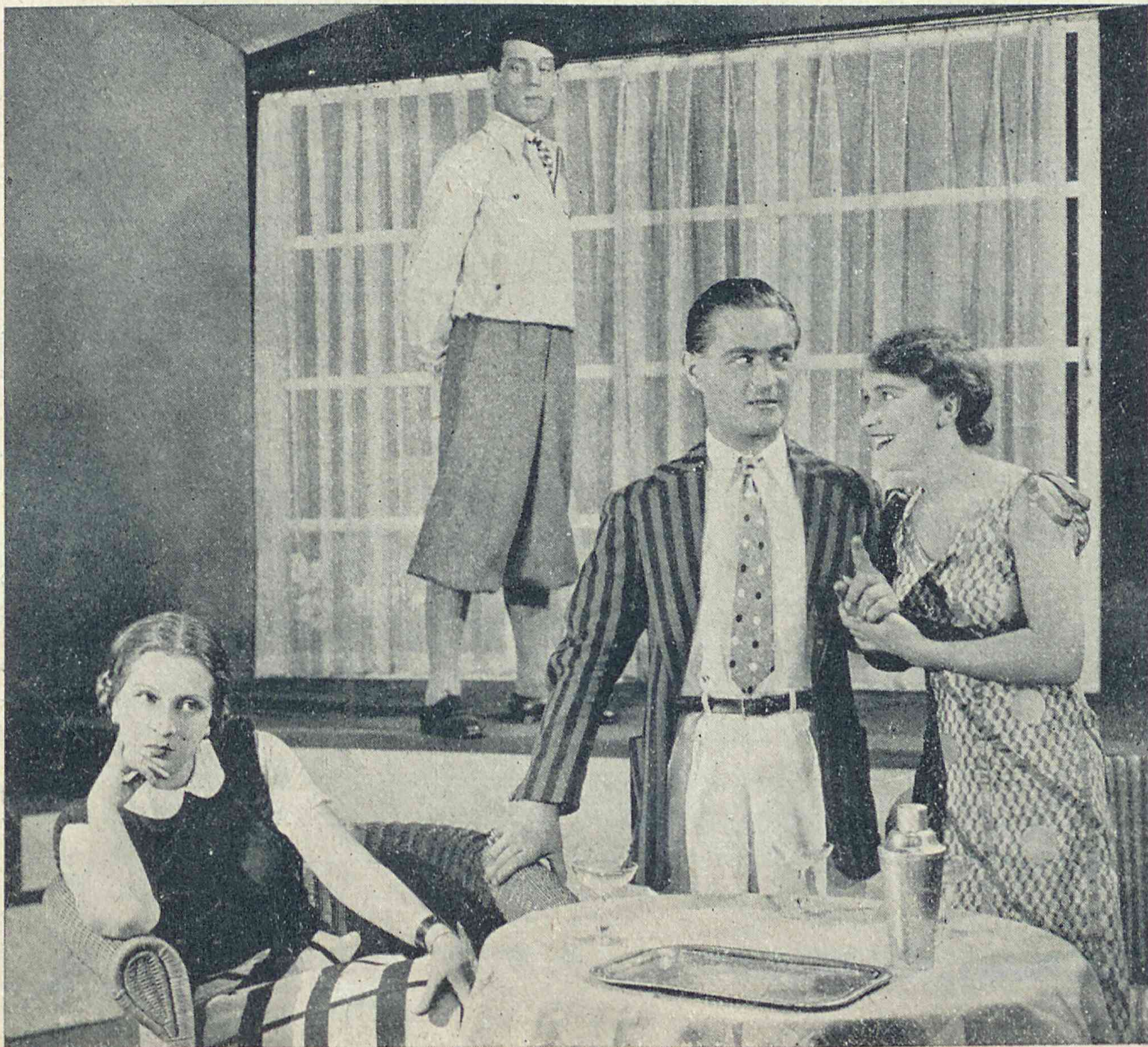
Fot. St. Brzozowski

* * *

P. S. Pod adresem Dyrekcji Teatru Polskiego zapytanie natury czysto praktycznej. Dlaczego każe się paniom na widowni zdejmować kapelusze? W żadnym teatrze warszawskim niema tego już dawno przestarzałego obyczaju.

„Rozkoszna dziewczyna" w Teatrze Polskim. J. Romanówna, Milecki, Dymsza, Orska

F t. St. Brzozowski



Z PODZIEMI WIELKIEGO MIASTA

(Reportaż z życia żebraków)



...na parterze sala rozpraw sądowych...

W północnej części Warszawy, na wąskiej ul. Przebieg, w pobliżu Muranowa, wznosi się duży, szary gmach, ogrodzony wysokim murem. Przedtem mieściło się w nim schronisko dla niedołężnych starców, dotkniętych paraliżem. Od kilku miesięcy szary gmach stał się stacją rozdzielczą, do której kierowani są ludzie schwytani na gorącym uczynku żebractwa.

Bo żebrać nie wolno. Wielkomiejska ulica nie jest schroniskiem nędzarzy. Więc zniecierpliwiona, strząsnęła z siebie symulantów i chorych, męty i pseudointeligencję, wszystkich tych, którzy z wyciągniętą ręką nagabywali przechodniów.

— Litościwa osobo, zmiłuj się nad nieszczęśliwym...

Mężczyzna w wytartem ubraniu i podartych butach wyciąga rękę, rozglądając się niespokojnie dokoła, czy nie zobaczy go posterunkowy. I biada, jeżeli „pan władza" usłyszy jego prośbę. Nic mu wtedy nie pomoże! Trzeba będzie wędrować na stację rozdzielczą...

— Taki już mój los — łka młoda kobieta, schwytana podczas obławy.

— Czy mam iść do Wisły? — oburza się mężczyzna o oczach zaskrzepłych krwią i długiej, siwej brodzie, sięgającej do pasa.

Ale po przybyciu na stację rozdzielczą żebrak ulega kompletnej metamorfozie. Ciepła woda zmywa brud, który latami wżerał się w skórę. Pod zaskrzepłą krwią, która okazuje się mieszaniną błota i czerwonej farby, błyszczą jasne, zdrowe oczy. Ostre nożyce bezlitośnie obcinają długie brody i brudne paznokcie. Dawno nieczesane włosy zaznajamiają się z grzebieniem i szczotką.

Jednakże przymusowa czystość budzi przeważnie niezadowolenie.

— Nie szanują tutaj człowieka! — oburza się staruszka, którą posterunkowy przyprowadził z pod kościoła. — Dawniej myłam się tylko w upały i nie chorowałam, a teraz każą codziennie... Jeszcze wpadnę w suchoty!

Ale najtrudniej wdziać na siebie obowiązującą na stacji rozdzielczej odzież: mężczyźni parciane, żółtawe ubrania, kobiety niebieskie szlafroczki i białe chusteczki na głowę.

— Zrobili z człowieka dziwoląga! — woła młody chłopak, który przed kąpielą sprawiał wrażenie starca.

— Przecież macie teraz czyste ubranie — mityguje go pielęgniarka.

— Wolałem tamto — wzdycha chłopak, patrząc ze smutkiem na kupkę łachmanów, wydających woń zgnilizny.

Białe, porządne łóżka, zasłane czystą pościelą, stoją rzędem na ogólnych salach.

Prócz ogólnych sal w domu rozdzielczym są i separatki.

— Dla elementów niespokojnych i chorych — objaśnia pielęgniarka.

W jednej z separatek oczekuje na rozprawę sądową młoda dziewczyna, cierpiąca na epilepsję. Rodzice dopiero teraz zaczęli o nią dbać. Zbyt późno przypomnieli sobie o swoich obowiązkach. Jakikolwiek zapadnie wyrok, dziewczynę umieszczą w szpitalu.

Na parterze mieści się duża, widna sala, w której odbywają się rozprawy sądowe. Na drewnianych ławach zasiadają oskarżeni żebracy.

— Walenty M.! — rozlega się głos sędziego.

Mężczyzna reaguje dopiero na szturchańce towarzyszy. Jest głuchy, ma lat 67. Dawno już stracił pracę. Czasami tylko nadarzy mu się dorywczy zarobek.

— Jaki? — pyta sędzia.

Nie słyszy. A może udaje.

— Jaki? — podchwytuje adwokat, honorowy obrońca z urzędu.

Milczenie.

Przyjmuje wyrok, skazujący go na umieszczenie w przytułku, z tępą obojętnością. Nie posiada rodziny. Wszystko mu jedno, co się z nim stanie.

Rzadko kto się przyznaje do uprawiania żebraniny. Zgarbiona staruszka zaprzecza kategorycznie, że wyciągała rękę.

— Ale przyjmowała datki — twierdzi świadek.

Staruszka wzrusza ramionami.

— A co? Miałam nie brać, jak dawali? Jeszcze miljonerką nie jestem!

Nie przyznaje się również młoda kobieta o twarzy zdradzającej nadużywanie alkoholu.

— Mój mąż jest piaskarzem, a w zimie rąbie lód na Wiśle — oznajmia z dumą i patrzy sędziemu prosto w oczy. Czuje się arystokratką w gronie nędzarzy.

— Jak w obławie zatrzymali z 10 osób, to i mnie wzięli, ale nie żebrałem— szepcze młody, 19-letni chłopak.

Świadek widział go z wyciągniętą ręką, stojącego na ulicy. Więc chłopak przyznaje się. Prosi o umieszczenie go w domu pracy przymusowej.

— Nie chcę zdychać pod płotem, albo gnić w kryminale — rzuca przez zaciśnięte zęby.

Odchodzi od stołu sędziowskiego ze spuszczoną głową. Nie zwraca uwagi na drwiny towarzyszy, na ich zdumione spojrzenia. Nie chce się zsunąć na dno.

Nie wiedział dotąd, że żebranina jest uczynkiem karygodnym. Ma jeszcze nadzieję podnieść się...

Nie chce korzystać z zawieszenia kary starszy mężczyzna o zaczerwienionych powiekach i przeraźliwie chudej szyi. Patrzy z niechęcią na córkę, która obiecuje zająć się nim.

— A przedtem nie mogłaś? — szepcze z goryczą.

Z obojętnością słucha mowy obrońcy, cytującego rozmaite paragrafy. Krzywi się, gdy córka zabiera głos. Ze strachem patrzy na sędziego, którego zdają się przekonywać dowodzenia obrońcy.

— O co prosi oskarżony? — pyta sędzia.

Ożywia się. Na policzkach pojawiają się chorobliwe wypieki.

— Wszędzie, tylko nie do córki...

Oddycha z ulgą, gdy zapada wyrok, skazujący go na zamknięcie w przytułku.

Z kolei staje przed stołem sędziowskim 96-letni starzec o zdrowym wyglądzie. Nie przyznaje się do uprawiania żebraniny.

— Nie jestem taki stary, żebym miał chodzić o proszonym chlebie! — oburza się, nie zwracając uwagi na śmiechy, rozlegające się na sali.

Tłomaczy, że szedł ulicą, zatrzymał się na chwilę i jakaś pani dała mu 5 groszy.

— Miałem nie brać? — dziwi się.

Syn, który przyszedł na rozprawę, jest ubrany przyzwoicie. Z zawodu murarz, zarabia niezgorzej. Przestępuje z nogi na nogę i mnie czapkę w ręku. Wstydzi się.

— Nie wiedziałem, że ojciec żebrze — tłomaczy.

Spojrzenia ojca i syna spotykają się. Można w nich wyczytać wzajemną niechęć i złość. Słowa syna nikomu nie trafiają do przekonania. Obrońca prosi o umieszczenie staruszka w przytułku, uważając, że będzie mu lepiej wśród obcych, niż na łaskawym chlebie u syna.

Staruszek jest innego zdania.

— Chciałbym iść do syna — prosi.

Czy mi się zdawało, że po twarzy murarza przeleciała iskra niezadowolenia, gdy sędzia zawiesił wykonanie wyroku na dwa lata? Ale napewno westchnienie ulgi wydostało się z piersi oskarżonego.

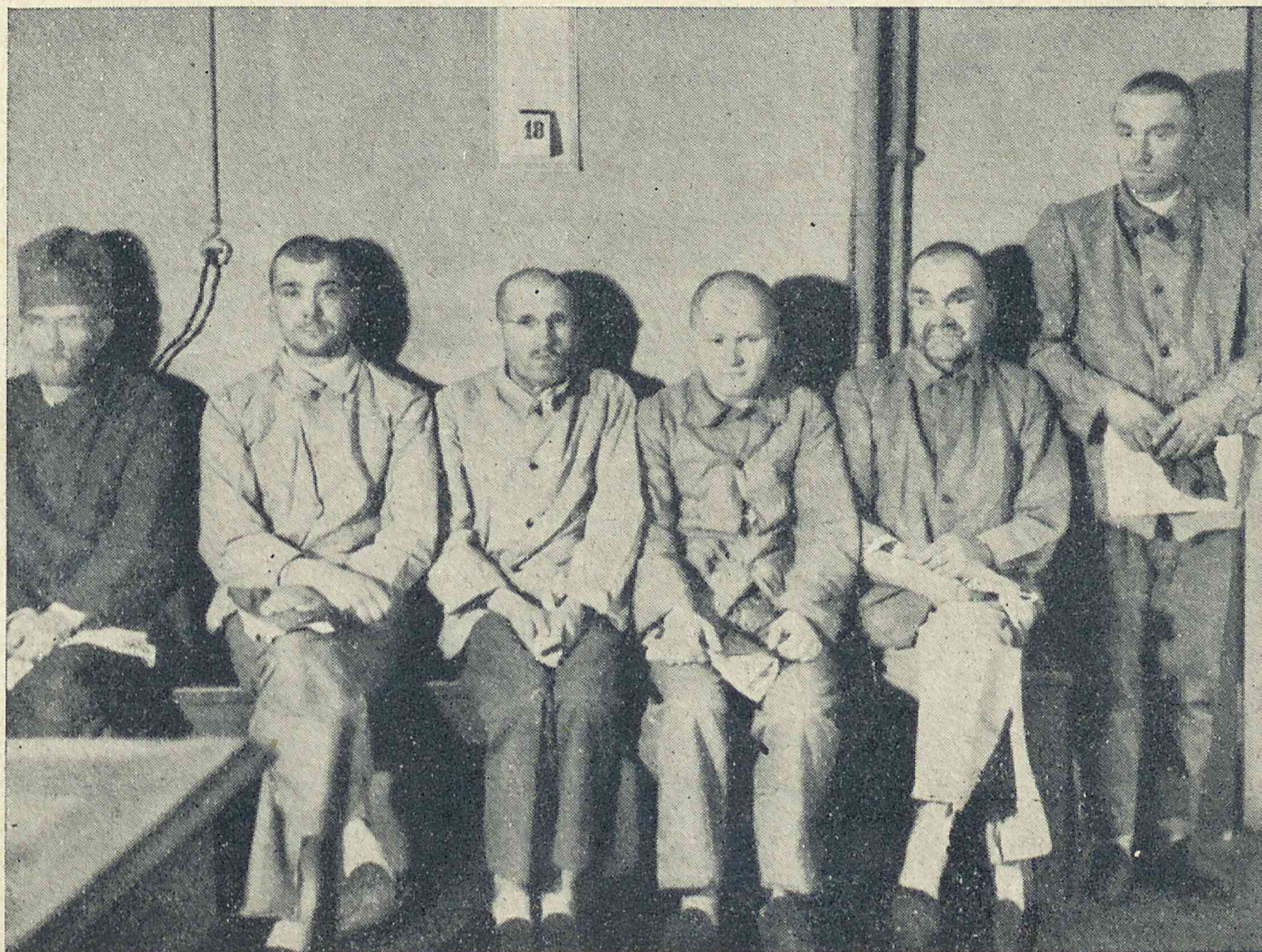
Dziwna jest psychologja człowieka...

Zdarzają się nieliczni żebracy, którzy dobrowolnie zgłaszają się na stację rozdzielczą. Tylko położenie bez wyjścia zmusiło ich do wyciągania ręki. Lęk przed stoczeniem się na dno nie opuszcza ich ani na chwilę. Więc spieszą na ul. Przebieg w nadziei ratunku...

Akcja przeciwżebracza uwalnia ulicę od plagi żebraniny i zmusza społeczeństwo do zajęcia się losem ludzi, których dotąd obdarzało jałmużną, fałszywie rozumiejąc znaczenie prawdziwego miłosierdzia.

St. Osińska.

.. mężczyźni noszą parciane żółtawe ubrania...



ŻYCIE KLUBOWE KOBIET

Przy dzisiejszem ułożeniu się stosunków rodzinnych i towarzyskich sprawa klubów kobiecych jest bardzo aktualna. Kobieta może bardziej jeszcze od mężczyzny potrzebuje towarzystwa, boi się samotności, a częściej jest na nią narażona. Trudności finansowe nie pozwalają na rozwój życia towarzyskiego. Dom-rodzina traci swoją spoistość. Dzieci zabiera szkoła i liczne organizacje młodzieży pozaszkolne. Mąż, pochłonięty walką o byt, szuka odpoczynku poza domem. Kobieta zostaje przy „ognisku" sama.

Gorzej jeszcze rzecz się przedstawia dla kobiet niezamężnych, którym głodowe pensje odbierają możność wszelkich rozrywek i skazują na pustelnicze życie w czterech ścianach odnajętego pokoju.

Wszystkim tym bolączkom zaradza *klub*, pojęty w znaczeniu lokalu prywatnego, do którego tylko członkowie mają prawo wstępu o każdej porze dnia i nocy, w którym mogą zachowywać się, jak we własnym domu, to znaczy mieszkać, jeść, pracować i bawić się. Ten typ klubu wytworzyła Anglja i tylko o jej klubach powiem kilka słów.

O Anglji można powiedzieć, że na 10 mężczyzn 9 należy do klubu, nic więc dziwnego, że i Angielka życie klubowe przyswoiła sobie. Opis klubów żeńskich Londynu oszałamia ilością członkiń, bogactwem urządzeń, doskonałością organizacji.

Ze względu na działalność klubów londyńskich można je podzielić na: towarzyskie, społeczno-kulturalne, polityczne, zawodowe, sportowe, dobroczynne, religijne.

Dla Angielki klub — to instytucja, w której można zmieścić całe życie. A więc i hotel, i kuchnia, i pokój do pracy, i salon do rozrywek. Tylko w tym bogatym kraju mogły się znaleść fundatorki wspaniałych pałacy ze świetnie urządzonemi pokojami mieszkalnemi, z salonami, w których można przyjąć po 500 osób, z wyszkoloną służbą, z doskonałą kuchnią. Kluby te, jak np. „Forum", „Lyceum", „Ladies Carlton", są naturalnie kosztowne. Apartament, złożony z trzech pokoi kosztuje w „Ladies Carlton" 16.000 zł. rocznie, utrzymanie dzienne bez pokoju w „Lyceum" wynosi 20 zł. Kluby te żywią dziennie około 125 osób, mają więc dość zamożne członkinie, które mogą ze swych składek (około 250 zł. rocznie) klub utrzymać. Są naturalnie i tańsze kluby towarzyskie, wszystkie one rozwijają działalność kulturalną dla swych członkiń i wprowadzonych gości, któremi często są mężczyźni.

Kluby zawodowe są bardzo licznie reprezentowane. Najwspanialszy powstał z fundacji Lady Cowdray, który wśród najrozmaitszych zawodów samych pielęgniarek liczy 4.000. Jak na nasze stosunki, nie jest to wcale klub tani, gdyż pokój z utrzymaniem wynosi około 18 zł. dziennie. Należy zaznaczyć, że kluby, posiadające pokoje mieszkalne, określają ilość dni w ciągu roku, w których wolno jednej osobie zajmować mieszkanie.

Typem klubu politycznego jest „Pioneer Club", najstarszy klub sufrażystek, które w obecnym okresie zawieszenia broni wzięły się do spokojnej pracy ożywienia ruchu umysłowego wśród kobiet. Typem klubu społecznego jest „Women's Service House", datujący się od roku 1866. Klub ten walczy o równe prawa dla kobiet pracujących, pomaga w wyborze karjery życiowej, przygotowywuje fachowo, nawiązuje kontakt między kobietami z wyższem wykształceniem a pracownicami handlu i biurowości.

Poza wymienionymi typowymi, istnieje naturalnie cały szereg innych klubów, przystosowanych do rozmaitych możliwości budżetowych i mających rozmaite zadania: sportowe, dobroczynne, religijne...

Jak widać, życie klubowe w Anglji jest mocno i wszechstronnie rozwinięte.

Przyjrzyjmy się teraz stosunkom polskim. Jesteśmy krajem ubogim, poziom życia mamy niski, nie posiadamy kobiet rozporządzających dużym majątkiem. To też nie mamy ani „Forum", ani „Lyceum", wogóle nie mamy klubu na skalę angielską. Natomiast jesteśmy bardzo uświadomione społecznie i po-

Pokój prywatny w klubie „Lyceum".



litycznie, a także czujemy potrzebę zrzeszania się.

Życie stowarzyszeniowe jest u nas bardzo rozwinięte, obejmuje siecią swych agend cały kraj i liczy dziesiątki tysięcy członkiń. W samej Warszawie ma siedzibę około 46 organizacyj kobiecych, wszystkie o charakterze społeczno-kulturalno-polityczno-zawodowym. Niektóre z tych organizacji wydzieliły pewną namiastkę klubu towarzyskiego. Nie może tu być porównania z klubem angielskim. Żadna z organizacji nie jest dość bogata, aby mieć własny dom; zaledwie niektóre mogą zdobyć się na własny lokal, przeważnie grupuje się po kilka w jednym pokoju, gdzie przejście od stolika do stolika stanowi przeniesienie się z terenu prac jednego stowarzyszenia do drugiego o zupełnie innych celach.

Ruchliwą działalność na tem polu wykazuje Klub Kobiety Współczesnej, wydzielony przez Stowarzyszenie Kobiet z wyższem wykształceniem i Redakcję tygodnika „Kobieta Współczesna". Jest to klub wyłącznie kobiecy, którego poniedziałki wyrobiły sobie ustaloną opinję interesujących wieczorów.

Znane są w stolicy środy Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek, na które są zapraszani panowie, wobec czego charakter zebrań jest głównie towarzyski.

Swoje dnie klubowe posiadają: Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Sekcja Warszawska, Koło Pań, utworzone przy L. O. P. P., Klub Kobiet Postępowych, F. I. D. A. C. żeński i szereg innych.

Również kluby sportowe, np. Wioślarek, utrzymują w sezonie zimowym łączność ze swemi członkiniami na terenie towarzyskim.

Należy zaznaczyć, że panie warszawskie sforsowały prawie wszystkie kluby męskie, z których każdy ofiarował jeden dzień w tygodniu na wspólne wieczory, ożywiając w ten sposób coraz słabszą frekwencję.

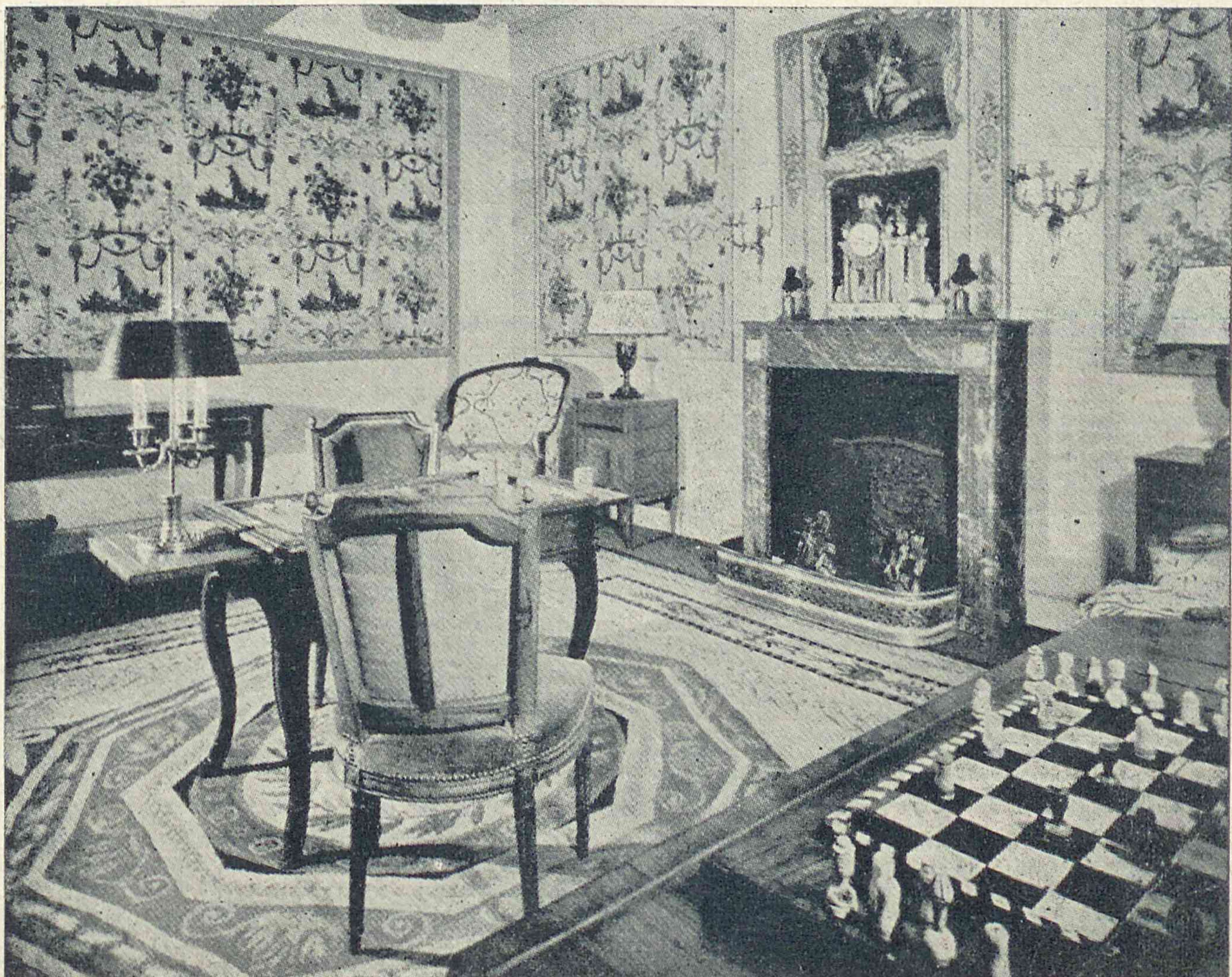
Złożywszy wszystko razem, warszawianka może każdy wieczór w tygodniu spędzić w jakimś klubie. Cóż, kiedy, niestety, w żadnym nie czując się u siebie.

Potrzeba stałego klubu kobiecego jest ogromna. Cała rzesza kobiet, zbyt zmęczonych domem lub pracą zawodową, aby należeć do organizacji, która jeszcze wymaga ofiar, marzy o klubie, który byłby oderwaniem się od spraw codziennych, dawał możność odpoczynku, rozmowy, rozrywki, bez wkładania w to własnej inicjatywy.

Apelujemy do wszystkich utajonych miljarderek polskich! Może znajdzie się fundatorka już nie pałacu, a skromnego mieszkania, które stale, co dzień i co noc, będzie otwarte dla tych wszystkich kobiet, którym w domu źle lub samotnie.

Janina Janicka

Salon towarzyski w Klubie „Ladies Carlton".



Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. Marja z hr. Branickich Księżna Zdzisławowa Lubomirska

Dn. 12 lipca r. b., zmarła księżna Marja Lubomirska. Zmarła księżna, małżonka b. prezydenta m. st. Warszawy i członka Rady Regencyjnej ks. Zdzisława Lubomirskiego, córka znanego ze swej szlachetności i zasług obywatelskich Władysława hr. Branickiego i Julji z Potockich, urodziła się 10 października 1873 r. w Staniszczach.



Ś. p. Marja z hr. Branickich Księżna Zdzisławowa Lubomirska.

Wojna światowa zastała Ją na Litwie, skąd powróciła do Warszawy w końcu 1915 r. i tu pomagała w bardzo poważnych obowiązkach społecznych swemu małżonkowi, piastującemu wówczas godność prezydenta stolicy. Odziedziczywszy po ojcu zamiłowanie do ofiarności i ocierania łez niedoli biednym i upośledzonym przez los, jako godna Jego córka, wstępowała w ślady swego rodziciela, pełniła ten wzniosły obowiązek samarytański bez wszelkiego rozgłosu, idąc za głosem swego serca. Ta jej dobroczynna działalność zaznazyła się szczególniej po odzyskaniu niepodległości, oddawała się z zaparciem samej siebie pracy pełnej poświęcenia dla ulżenia niedoli ludzkiej. Piastując wówczas szczytną godność prezesa Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo, będącego najwybitniejszą placówką społeczno-dobroczynną, ratującą liczne rzesze przed śmiercią głodową. W ostatnich czasach, podupadłszy na zdrowiu, odsunęła się od życia publicznego, pozostawiając tylko dla siebie skromne stanowisko vice-prezesa tegoż Towarzystwa.

Za swoje wysokie cnoty oraz zasługi położone w ciężkich chwilach przeżywanych przez nasze społeczeństwo, zmarła księżna była kochaną przez szerokie sfery mieszkańców stolicy, pośród których zgon Jej pozostawił szczery i głęboki żal.

Cześć pamięci godnej i zasłużonej Obywatelce kraju!

Ś. p. Aniela z Dąbrowskich I v. Steinbrich, II v. Chrapczyńska.

W d. 16 lipca r. b. rozstała się z tym światem, dożywszy sędziwego wieku, ś. p. Aniela z Dąbrowskich Steinbrich, II v Chrapczyńska, pozostawiając po sobie u tych, którzy ją znali bliżej, dzięki swym



Ś. p. Aniela z Dąbrowskich I v. Steinbrich, II v. Chrapczyńska.

zaletom serca i charakteru, żal głęboki. Wzorowa i kochająca Matka i Babka, głęboko religijna, szczera z natury, odznaczała się czułem sercem, wrażliwem na niedolę ludzką, dzięki czemu niejedną łzę cierpiącym otarła. Nie tracąc nigdy ufności w Opatrzność, która Jej pozwoliła dożyć sędziwych lat, osierociła okrywając żałobą troje dzieci i dwoję wnucząt.

Cześć Jej pamięci.

Kiedy przemówi rozgłośnia Toruńska?

BUDOWA BUDYNKU I WIEŻY ANTENOWEJ

Plan rozbudowy sieci nadawczej Polskiego Radja przewiduje również uruchomienie silnej stacji przekaźnikowej w Toruniu o mocy 25 klw. Jak się dowiadujemy, przed kilkoma dniami rozpoczęta została budowa budynku stacyjnego, który stanie w pobliżu toruńskiego dworca kolejowego. Budynek ten wykończony zostanie jeszcze w bieżącym sezonie budowlanym. Równocześnie w hutach „Królewska" i „Laura" zamówiona została żelazna konstrukcja masztu antenowego o wysokości 147 metrów. Wreszcie równolegle, specjalne warsztaty „Polskiego Radja", mieszczące się na Mokotowie w starej stacji warszawskiej, pracują od dwuch miesięcy nad budową aparatury tej stacji.

W ten sposób nowa rozgłośnia toruńska zbudowana zostanie całkowicie w kraju rękami polskich inżynierów i robotników, oraz z krajowych materjałów z wyjątkiem tylko tych części składowych, których w kraju produkować nie można.

Nowa rozgłośnia toruńska, uruchomiona zostanie pod koniec r. b. tak, że okręg toruński „Na Gwiazdkę" będzie się już cieszył audycjami odbieranemi za pośrednictwem własnej regjonalnej rozgłośni.

SZKODLIWY CHAOS

Ciągła troska naszych Pań o zachowanie ładnej cery stworzyła cały szereg kosmetyków, nie zawsze wartościowych, a często wręcz szkodliwych.

Kosmetyków tych jest mnóstwo, a wszystkie z takim entuzjazmem wychwalane w powodzi ogłoszeń, że Panie nie mogą się orjentować, jakiego np. pudru czy kremu używać, aby marzenie o cudownej cerze urzeczywistnić.

Aby ułatwić Paniom właściwy wybór, polecić Im należy powszechnie znany i cieszący się zasłużonem powodzeniem Krem i Puder Simon.

Stałe stosowanie wyrobów firmy Creme Simon, Paris nie narazi Pań na żadne przykre niespodzianki, związane z podrażnieniem naskórka. Przeciwnie, niezmiernie delikatna i matowa cera będzie rezultatem, jakiego każda Pani ma prawo wymagać od prawdziwie dobrego pudru i gwarantowanego kremu.

„UZDROWISKA POLSKIE".

Najnowszy numer „Wiadomości Turystycznych" poświęcony został w całości uzdrowiskom polskim.

Omawiany numer ukazał się w formacie albumowym, na pięknym papierze, zaopatrzony w liczne doskonałe ilustracje i barwną okładkę.

Zawiera on szereg artykułów omawiających aktualne zagadnienia polskich uzdrowisk, z pośród których zanotować należy interesujący wywiad z d-rem Janem Adamskim, dyr. departamentu Służby Zdrowia Min. Opieki Społ., artykuły dr. W. Przywieczerskiego, naczelnika wydziału Min. Opieki Społ., p. Haliny Minkiewiczowej, dyr. Zw. Uzdrowisk Polskich, inż. K. Krukierka z Żegiestowa, etc.

W drugiej części znajdujemy opisy 44 najpoważniejszych uzdrowisk polskich, ujęte obrazowo, lecz zarazem krytycznie.

Numer ten, którego celem jest wykazanie wielkich możliwości polskich uzdrowisk, stanowi cenną publikację, której brak odczuwany był od dawna.

RADY I PRZEPISY

ANANASOWA MOSKOWITA

na 4—5 osób, według przepisu Pani Elżbiety.

Dodatki: 2 paczki galaretki ananasowej „LUBA", 2 szklanki cukru, 6 szklanek wody, 10 deka smażonego ananasu, kieliszek dobrego araku.

Sposób przyrządzania: Ugotować galaretkę ananasową według przepisu podanego na paczce, jednak biorąc zamiast dwóch szklanek wody na każdą porcję trzy szklanki wody i znacznie powiększając ilość cukru (szklankę cukru na każdą paczkę galaretki). Stygnącą galaretkę wlać do formy od lodów i zamrozić jak zwykłe lody. Gdy masa zacznie gęstnieć, wyjąć z maszynki łopatkę, służącą do mieszania lodów, wsypać pokrajany w drobną kostkę ananas, wlać kieliszek araku, wymieszać dobrze łyżką od dna, zakryć formę, kręcić jeszcze kwadrans, poczem szczelnie zamkniętą formę obsypać grubo lodem i solą i pozostawić tak dwie godziny przed podaniem. Podawać w szampankach lub kładąc po dużej łyżce na kryształowe talerzyki. Do moskowity podaje się lekkie wafelki lub makaroniki.

LODY WANILJOWE.

Dodatki: Paczka cukru waniljowego „LUBA", ½ l. mleka, 4 żółtka, 25 deka cukru.

Sposób przyrządzania: Wszytko razem dobrze rozbite postawić na wolnym ogniu i mieszać tak długo, dopóki nie zgęstnieje. Skoro masa ostygnie, wlewa się ją do maszynki, wybijając mocno, aby masa stężała na lody.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od Redakcji.

„Pielęgniarce" z Krakowa. Kłopoty i niedostateczne wysypianie się powodują tworzenie się zmarszczek. Aby temu zapobiec należy codziennie wcierać na noc nieco Kremu Ziołowego lub Kremu Odżywczego marki Antiba. Rano odświeżyć można twarz zapomocą preparatów Antiba, a więc płynem Lotion tonique przy cerze suchej, Tonic astrigent przy cerze normalnej, a płynem Extrait przy skłonności do zmarszczek.

P. Marji K. z Koluszek. Zgrubienie naskórka oraz tak zwaną „gęsią skórkę" na rękach usunie Pani szybko płynem Haz-Elite Fluid, który udelikatnia, wygładza i wybiela skórę, zapobiega zwiotczeniu rąk, a pozatem nadaje się specjalnie dla osób skłonnych do pocenia się rąk.

P. Andrzejowi z Lublina. Aby ułatwić rozczesywanie włosów po umyciu, wskazane jest skropić skórę głowy płynem Pilosan-Antiba przy włosach tłustych i łupieżu albo płynem Quininol Antiba przy włosach suchych i osłabionych dla wzmocnienia cebulek włosowych. Płyny te w miarę możności należy wcierać w skórę głowy codziennie.

Anegdoty teatralne

Znakomity baryton opery lwowskiej, Adam Ludwig, po występie w „Cyganerji" Pucciniego udał się w towarzystwie przyjaciół do restauracji na kolację. A było to w Krakowie, gdzie rok rocznie w lecie opera i operetka lwowska zjeżdżały do teatru im. Słowackiego na gościnne występy.

W restauracji po paru butelkach szampana uproszono Ludwiga, aby coś zaśpiewał. Ktoś usiadł do fortepianu, a znakomity śpiewak, nie wstając od stolika — spoczątku nucił coś, a wreszcie z pełnej piersi zaczął śpiewać, a głos jego w sali restauracyjnej wydawał się jeszcze potężniejszy niż na scenie. Przytem w momencie zabawy i pod wpływem podochocenia szlachetnym trunkiem, Ludwig śpiewał, jak nigdy. Publiczność urządziła mu owację, a jakiś gość, który nie poznał w śpiewaku, znanego artysty opery lwowskiej, ściskając mu rękę, powiedział z entuzjazmem:

— Panie! Nie znam pana, nie wiem, kto pan zacz. Wiem, że pan nie z Krakowa, bobym pana znał. Ale śpiewa pan tak pięknie, że prawie tak, jak Ludwig dziś śpiewał w operze.

— Nie, drogi panie — odparł śpiewak, zanosząc się od śmiechu, swym charakterystycznym chichotem: — Ludwig na scenie jeszcze nigdy z takim uczuciem i tak świetnie nie śpiewał, jak ja w tej chwili

Wróciwszy do stolika, do swego towarzystwa, krakowiak stwierdził:

— No, ten jegomość jest dość sobie zarozumiały.







Anegdoty teatralne

Teatr lwowski gościł na swej scenie trupę japońską, której filarem była para słynnych na cały świat aktorów: Sada Jako i Kawa Kami.

Po przedstawieniu tłumy publiczności oczekiwały pod wyjściem z za kulis, żądne widoku egzotycznych artystów bez szminki i scenicznych kostjumów.

Tymczasem, aby uniknąć zamieszania i nie trudzić przeciskaniem się przez tłum japończyków, wypuszczono ich bocznem wyjściem, które specjalnie wtedy otworzono, gdyż zazwyczaj było zamknięte na głucho. Widząc, że tłum cierpliwie czeka, jeden z chórzystów, postać niegdyś nadzwyczaj popularna na bruku lwowskim, Kazimierz Pasternak, znany kawalarz, pospiesznie ubrał się w kimono, ucharakteryzował się odpowiednio, włożył japońską perukę i wyszedł na spotkanie tłumu ciekawych.

Spotkany oklaskami, ku niemałemu zdziwieniu zebranych, którzy pociemku nie spostrzegli mistyfikacji — wykropił z miejsca do nich mówkę najczystszą polszczyzną, a — co jeszcze bardziej dziwiło mieszkańców lwiego grodu — z domieszką łyczakowskiego akcentu. Mniemany japończyk zakończył krótkie przemówienie słowami:

— A teraz zapraszam wszystkich do Borera na wódkę — każdego na jego własny koszt.

Z temi słowy udał się w jedwabnem kimonie na drugą stronę placu do znanej knajpki, która już dziś nie egzystuje.

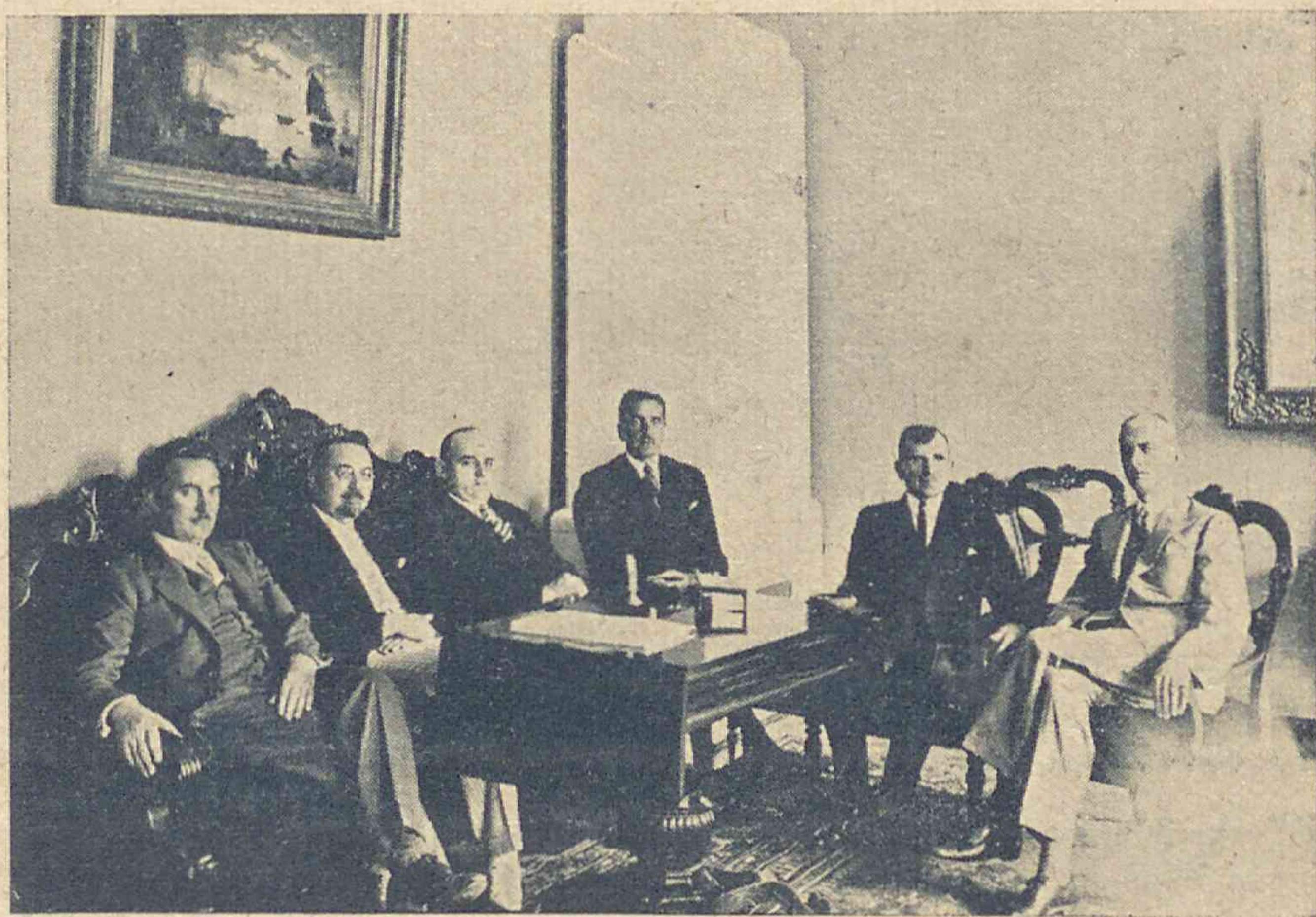
Numer polski „Lidové Noviny"

Dziennik czechosłowacki Lidové Nowiny, półoficjalny organ min. Benesza, wydał w dniu święta Morza t. j. d. 29 czerwca r. b. specjalny numer poświęcony zagadnieniom portu naszego — Gdyni. Numer opracowany w najtrudniejszych warunkach politycznych, przez p. A. Górskiego, zawiera szereg artykułów, napisanych przez b. ministra Kwiatkowskiego na naczelnem miejscu tego numeru, b. Komisarza Generalnego R. P. w Gdańsku dr. Strassburgera, prezesa Izby Handlowej Klarnera, radcy Min. Przem. i Handlu Jackowskiego, Komisarza Rządu w Gdyni Mgr. Sokoła i innych.



Przyjazd Polaków z Ameryki na 2-gi Zjazd Polaków z zagranicy





Na pierwszem zdjęciu:

Od lewej: p. Krysiak (redaktorka), prez. Medard Downarowicz, p. Czerwiński (teść p. cenzora Świetlika), dyr. Szwedowski, cenzor Fr. Świetlik z żoną i dziećmi, dyr. Paprocki, dr. Smykowski, Helena Dobrowolska (sekr. Nacz. Rady Pol. Zagr.).

Na drugiem zdjęciu:

P. Marszałek Raczkiewicz przyjął prezydjum wycieczki na II zjazd Polaków ze Stanów Zjednoczonych. Na zdjęciu p. Marszałek Raczkiewicz, p. Kurdziel, Dyr. Lenartowicz, Cenzor Świetlik, Dyr. Smykowski, p. Przydatek

WIEDENKI NA EKRANIE





Wiedenki już dawno zdobyły sobie miano „uroczych" są one uosobieniem wdzięku, kobiecości i mistrzyniami flirtu, a treścią ich życia jest mężczyzna.

Jedną z najtypowszych wiedenek jest Paula Wesely, którą ujrzymy w filmie austrjackiej produkcji „Sascha" — Wiedeń p. t. „Maskarada". Jest to film z życia przedwojennej Austrji. Rok 1905. Atmosfera „Maskarady" — przesycona melodjami straussowskich walców, intryżkami i miłostkami. Partnerem Wesely jest świetny amant Wohlbrück. Pozatem w obrazie bierze udział ośmiuset statystów w stylowych kostjumach i strojach z r. 1905-go. Realizacja czołowego reżysera Wiednia, Willy Forst'a.

Ten majstersztyk reżyserji, inscenizacji, przepychu, wystawy i znakomitej gry aktorskiej ukaże się na ekranie jednego z pierwszorzędnych kin Warszawy w sezonie 1933/4.

Ofiary na powodzian wpłacać należy na konto P.K.O. Nr. 2200

CENY OGŁOSZEŃ W „ŚWIECIE"

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ III „ 450.—, 1/2 225, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300,
Za tekstem . . . . . . Zł. 600, 1/2 300.—, 1/4 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.
WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P